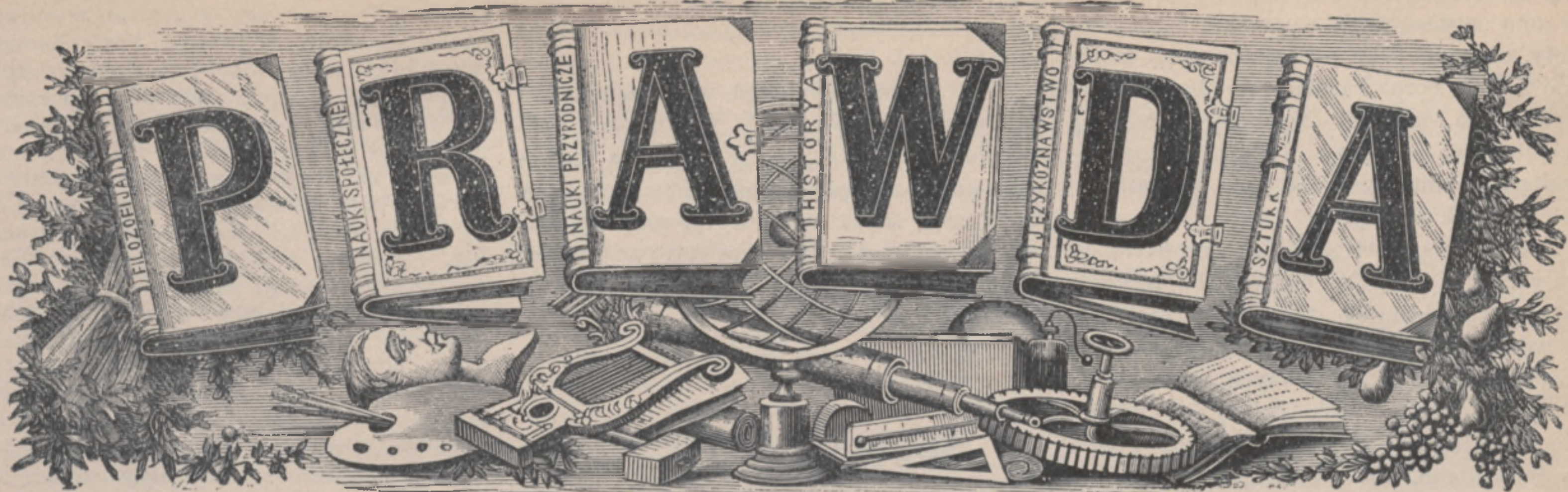
№ 17. Warszawa, dnia 26 (14) Kwietnia 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA WOLNEJ RĘKI.

Coraz głośniej wyrażane i coraz słuszniej uzasadniane skargi pewnej części prasy galicyjskiej na bezczynność Koła polskiego w Wiedniu pobudziły jego członków i przyjaciół do płaczliwej obrony. Głównym upustem tych liryk politycznych jest *Czas* krakowski, który równie wytrwale bieli to, co chce mieć białem, jak czerni to, co pragnie przedstawić czarnem. Białą zaś, niepokalanie białą barwę widział on zawsze w Kole polskiem — i do pewnego stopnia sprawiedliwie. Nie jest to bowiem grono, któreby kierowało się złą względem kraju wolą lub widokami osobistymi. Nie, (pomijając kilku energiczniejszych) są to ludzie uczciwi, mający nieraz bardzo zacne chęci i niezłe plany, ale przeważnie niedołężni, przerażeni obawą powrotu stosunków dawnych, w wielu sprawach zacofani lub zdurzeni oznakami łask drobnych a nadewszystko iluzyą wpływu na losy państwa. Przebija się to zarówno w ich działaniu, jak i obecnych utyskiwaniach. Jak wiadomo czytelnikom naszym, *Reforma* krakowska, szukając najwłaściwszej drogi dla delegatów galicyjskich, znalazła ją w „polityce wolnej ręki," tj. w takim kierunku, któryby nie zrywając przymierza z rządem i prawicą, nie zobowiązywał Koła do bezwzględnej i bezużytecznej służby a jednocześnie pozwalał na wytargowywanie słusznych korzyści dla kraju. Otóż przeciwko takiemu żądaniu polscy konduktorzy i maszyniści w Radzie państwa wyjeżdżają całą parą. Jeden z nich tak kreśli skutki doradzanego rozwodu. Jeśli Koło polskie zerwie sojusz, reszta dzisiejszej prawicy, licząca razem około 100 posłów, stanie się odrazu mniejszością parlamentarną, lewica zaś, posiadająca 150 członków — większością. Skutkiem tego ostatnia obejmuje kierownictwo nad całym ruchem maszyny parlamentarnej, zostaje gospodynią, żyć z nią nie może, i albo musi ustąpić, albo rozpisać nowe wybory. Pytanie, jakby one wypadły i jakby rząd na nie wpływał? Według szan. Wernyhory rozumowałby tak: „Polacy oderwali się i idą samopas, więc w rachubę brać ich niepodobna, gdyż niesposób (!) odgadnąć, jakiemi drogami chodzić zechcą; opozycyi destrukcyjnej nie zorganizują, bo to nie leży w ich charakterze, sprzeciwia się tradycyi ich polityki i nie mogliby oni sami zagradzać sobie wszelkiej drogi na przyszłość; szukać u nich oparcia niepodobna, bo dopiero co dowiedli, że ich taktyka jest *chimeryczną*,(!) zresztą z frakcyą, która stoi na uboczu, nie paktuje się, chyba tylko w razach wyjątkowych. Więc potrzeba zapewnić sobie stałą większość bez polaków. Trudno, ażeby nowe wybory dostarczyły tak licznego zastępu niemców, umiarkowanie konserwatywnych, iżby ci z czechami i innymi słowianami zyskali większość bez polaków. Nie pozostałoby przeto dla rządu *nic innego*, jak postarać się przy wyborach o wzmocnienie szeregów umiarkowańszej lewicy. Ta objęłaby kierunek w swoje ręce i na niej oparłby się rząd przeobrażony w odpowiednim duchu. A duchem tym byłby przedewszystkiem: centralizm, biurokratyzm i przewaga niemiecka, to znaczy panowanie zasad, które zwalczaliśmy przez lat 16.

Takie są *nieuniknione* następstwa zalecanej dzisiaj zmiany w taktyce Koła polskiego, nazwanej polityką wolnej ręki."

Nam się zdaje, że takie następstwa, chociaż możliwe, jak wszystko, co na tej głupstwami kwitnącej ziemi wyrasta, nie są wcale „nieuniknione." Bo naprzód „polityka wolnej ręki" (o czem przekonywa dostatecznie np. stronnictwo katolickie w Niemczech) nie potrzebowałaby wcale „przemieniać Koła w uparte i kapryśne dziecko," gdyż taktyka jego nie byłaby „chimeryczną," ale w czynach swoich konsekwentną i nie opierałaby się na grymasach i chwilowych upodobaniach, lecz na interesach narodowych. Gdyby z tych interesów wysnuty, stały, niewzruszony program przewodniczył ruchom owej „wolnej ręki," rząd wiedziałby, że ją trzeba „brać w rachubę" i znalazłby „sposób odgadnięcia, jakiemi drogami ona chodzić zechce." To wzgląd pierwszy — z nim łączy się drugi. Jakkolwiek hr. Taaffe — według tegoż autora — usiłuje wyzwolić rząd z zależności od wszelkich stronnictw i galicyan bynajmniej zawzięcie nie kocha, to jednakże wypróbowawszy ich lojalność na wszystkie strony, mógłby również rozumować sobie tak: W lewicy poparcia nie znajdę, bo ona mnie nienawidzi; przyszłe wybory zwycięstwa mi nie zapewniają, więc chociaż polacy stwardnieli, zawsze to sprzymierzeńcy pewni; lepiej więc zrobić im ustępstwa, niż narażać się na grę hazardowną, w której zyskać mogę jedynie wątpliwych przyjaciół albo stracić tekę i naczelne stanowisko. Ten moment psychologiczny — jakby powiedział ks. Bismark — nie zwraca na siebie wcale uwagi Koła polskiego, które zapomina, że w zmienionej sytuacyi nietylko ono stanęłoby wobec ciężkich kłopotów.

Czyż istotnie sądzi, że obecny gabinet tak lekceważy sobie kierowanie sterem państwa?

Interesy... żądania Galicyi! Jakie? pyta ze szczerą dobrodusznością ten sam, czy inny polityk w *Czasie*. „Kraj ma wszystkiego dosyć, tylko pieniędzy mało" — powiada on kontent i śmieje się z naiwnych, którzy delegacyę uważają za wyprawę argonautów po złote runo do Wiednia. „Tylko pieniędzy mało" — bagatela! Śpiewać, sejmikować, krzyczeć, wymyślać, płakać, pojedynczo i gromadą, wolno, tylko jeść niema co. Zaiste wspaniałe i przez niektórych ekonomistów nawet sławione „prawo swobodnego umierania z głodu."

Prawo to rzeczywiście galicyanie posiadają w najszerszym rozmiarze, a *Czas* mniema, że ono wynagradza wszystkie inne. Niestety, nadeszła taka prozaiczna pora, że ludzie i ludy coraz bardziej nie chcą poprzestawać na idealnej rozkoszy swobody w ciemności i nędzy, a wątpimy, czy socyologia stańczykowska tego prozaicznego gustu ich oduczy.

Jeżeli jakiś poseł galicyjski, zaopatrzony we wszystkie środki wygody, odbierający regularnie dochody ze swego majątku, upewnia, że „*kraj* nie daje swej delegacyi innych wskazówek prócz tych: starajcie się utrzymać *obecny* stan rzeczy, aby się nic nie popsuło, aby nam nic nie odjęto z tego, co nam dano, da się otrzymać więcej, to tem lepiej" — jeżeli, mówimy, ów poseł takie tylko słyszy „hasło," zaiste, musi mu być dobrze na świecie. Ale to zadowolenie nie przeszkadza innym najsłuszniej dowodzić, że „obecny stan rzeczy" — stan ubóstwa i ekonomicznej ruiny wymaga koniecznie naprawy i zmiany. Już tyloma bokami wylazł dziecinny optymizm c. k. galicyjski, że dłużej łudzić się nim niepodobna. A jednakże wspomniany mąż stanu w *Czasie* powiada: „Odrębności Galicyi, stosunku takiego, jak Kroacyi do Węgier, *nikt* sobie *na seryo* nie życzy. Raz dlatego, że to wielki ciężar finansowy musieć sobie samemu wystarczać i przejąć część długu monarchii na nasz zubożały kraj, powtóre, instynktowo każdy czuje, że wobec odrębnego stanowiska Galicyi, kwestya ruska mogłaby groźnie stanąć w jednej chwili przed nami, i to tak, że prawdopodobnie musielibyśmy się czemprędzej uciec do pomocy państwa, by ją zażegnać i uśmierzyć. Skonsolidowania rządu w Galicyi, owego sławnego połączenia elementów rządowych i obywatelskich, tak w stolicy, jak na prowincyi, tego *nikt* nie pragnie, z wyjątkiem jakiejś małej garstki zwolenników reformy, którzy zresztą zupełnie się rozpłynęli w więcej rozrzedzonym roztworze konserwatyzmu."

Więc doprawdy tego wszystkiego *nikt* w Galicyi nie pragnie? Gdyby tak było istotnie, przedstawiałaby ona już doskonale uprawny grunt pod zasiew tych zrzeczeń się, które dotąd tylko nieprzyjaciel w nią wrzucał. Przy czytaniu podobnych wynurzeń rośnie chęć ku... „polityce wolnej ręki."

SŁÓWKO O GRECYI.

W dniu 26 marca r. b., wedle stylu starego, obchodziła Grecya jubileusz półwiekowy niepodległości swojej. Obchodziła go uroczyście, nietylko u siebie, ale i wszędzie, gdzie tylko znajdują się mniejsze lub większe grona synów Hellady. Mieliśmy tedy obchód i w Genewie, a to z dwóch powodów: naprzód dlatego, że uniwersytet tutejszy gromadzi w murach swoich stale ilość pewną młodzieży greckiej, poszukującej światła na Zachodzie, powtóre dlatego, że Genewa w walce o niepodległość Grecyi udział czynny wzięła. To ostatnie wydaje się dość dziwnem na pierwszy rzut oka. Gdzie Genewa! — gdzie Grecya! Co za styczność, jaki związek pomiędzy ojczyzną J. J. Rousseau a ojczyzną Sokratesa, Platona, Arystotelesa? Przestanie to jednak być dziwnem, gdy przeniesiemy się myślą w ową chwilę, kiedy kwestya grecka na stół weszła. Działo się to lat temu sześćdziesiąt z górą.

Lat temu sześćdziesiąt z górą, to znaczy, około roku 1820, Europa wychodziła z kąpieli krwawej. Wojny rewolucyjne, potem napoleońskie zajęły całą ćwierć wieku i doprowadziły do tego, że pragnienie pokoju— pokoju za jakąbądź cenę — stało się ogólnem. Pragnienie to łączono z potrzebą i uważano pokój, jako dobro najwyższe, dla osiągnięcia którego nie widziano ofiar za wielkich. Mniemanie takie wynikło z naturalnego znużenia, jakie spowodowała epoka za zbyt bohaterska. Potrzeba uznawana była istotną o tyle, o ile ze znużenia wypływała — była potrzebą spoczynku i zdawało się, że społeczność europejska, od r. 1789 do 1815 krwawiona bojami i raczona hukiem, wypoczywać zechce przez lat jakich dwadzieścia pięć przynajmniej, odpychając od siebie wszelakie święte, wielkie, słuszne i sympatyczne sprawy. Stało się jednak inaczej. Zaledwie akt kongresu wiedeńskiego, mający ów spokój pożądany zapewnić, podpisany i zajedzony (obiady dyplomatyczne w Wiedniu) został, aliści tu i owdzie, wszędzie prawie, przejawiły się zaczyny niepokoju, nurtujące w łonie narodów. Co więcej, wobec przejawów tych opinia publiczna nie zachowywała się nieprzyjaznie, jednym potakiwała, drugie uznawała i poruszyła się do głębi, gdy nagle, w lat sześć po kongresie wiedeńskim, przed kratkami jej stanęła sprawa grecka.

Żadna ze spraw przyjętą nie była z takim zapałem.

Nie są — zdaje mi się — wyjaśnione dokładnie przyczyny zajęcia ogromnego, jakie ona wywołała. Składają to powszechnie na wdzięczność, jaką Europa nowożytna uczuła dla Grecyi starożytnej. Cienie mistrzów przemówiły z grobów kilka-tysiąc-letnich do tych, co się ich uczniami mianowali i wezwały o pomoc dla potomków swoich. Zapewne — wezwanie to nastąpiło, ale nie stanowiło przyczyny ani jedynej, ani najważniejszej, która tkwiła w czem innem, w czemś realniejszem, aniżeli wdzięczność, w czemś, co bardziej bezpośrednio obchodziło narody europejskie. Co w Grecyi zgwałconem i gwałconem było? Moralność polityczna. Kraina ta pozbawioną została samoistności — dlaczego? — dlatego tylko, że się okazała słabszą od zdobywcy. Powód cały zawojowania jej przez Turcyę na tem polegał i, kiedy go grecy przed *forum* opinii publicznej wytoczyli opinia publiczna uznać go nie mogła. Otoż zdaniem mojem — przyczyna istotna zainteresowania się głębokiego a gorącego, jakie okazała Europa dla sprawy greckiej.

Pod mikroskopem.

Dr. Korczak, leżąc na sofie, odpoczywał po kilkogodzinnych badaniach mikroskopowych i myślał:

— Jeżeli istotę wszystkich chorób stanowią najrozmaitszego gatunku bakterye i jeżeli te drobne żyjątka tak łatwo rozłażą się, że — jak wykazał dr. Grassi — może je z ciał na ciała przenosić mucha, to, doprawdy, nic pozostaje nic innego, jak założyć ręce i słuchać, czy w naszym organizmie nie zaszemrze rój jakich baccyllusów.

Śród tych ponurych rozmyślań melancholijny doktór wziął gazetę do ręki i zaczął rozpraszać smutek nowinami dnia. Śmiał się szczerze nad „wyszukiwaniem nici kłębka kwestyi wschodniej" i wskazywaniem „chmur" politycznych, nad całem przelewaniem z pustego w próżne, aż nareszcie spotkał następującą wiadomość naukową:

„Dr. Reinsch w Erlangen, badając pod mikroskopem powłokę monet, dostrzegł w niej rozmaite bakterye."

Już i na pieniądzach!

— Ale dlaczegóżby nie? — rzekł do siebie z uśmiechem dr. Korczak. Właśnie tam muszą być obfite!

Natychmiast wyjął z portmonetki kopiejkę, podłożył pod mikroskop i patrzył.

Cóś... cóś... widać. Bakterya... lasecznik. Znany — wygląda jak ucinek włoska. Odkryto go przy sekcyach nad ciałami szynkarzów, karanych pisarzów gminnych i wychowańców Osad Rolnych. Choroba ta przebiega dosyć typowo: dotknięty nią dolicza sobie za wódkę lub kwitek kilka groszy więcej, albo też, jako terminator, piaskarz, chłopiec do posług itd. kradnie je z kieszeni majstra lub pana.

Podobne laseczniki znalazł dr. Korczak na innych monetach drobnych, a wszystkie złączył w jedną rodzinę i nazwał ją ogólnem imieniem: *bakterya pierwotna.*

Następnie włożył pod mikroskop rubel papierowy. Tu już daleko większa rozmaitość. Najwyraźniej odznacza się laseczník lichwiarski. Jest to stworzonko oryginalne: wielka (stosunkowo) gęba przyczepiona do małego ogonka. Mnoży się ono w oczach obserwatora z nadzwyczajną szybkością: jedno na minutę rodzi tysiąc, z których każde znowu rozpładnia się w podobnej proporcyi. Dr. Korczak, przerażony tą bezmierną płodnością, aż odskoczył od mikroskopu, obawiając się zarazy. Wiadomo, że odpowiednia tej bakteryi choroba postępuje bardzo szybko i zwykle kończy się śmiercią.

Po ochłonięciu z przestrachu dr. Korczak badał dalej i na tymże papierku ujrzał drugą grupę—laseczników powiatowych— kręte włókienka. Wytwarzają one epidemię czysto prowincyonalną. Nieraz w gazetach czytać można jej opisy. Oto np. pewnego obywatela ziemskiego oskarżono, że niema na dachu swego dworu drabiny, potrzebnej przy gaszeniu pożaru. Pojechał więc do powiatu i wyjaśnił, że drabina taka szpeciłaby mu dom, na którym zresztą ułożone są zastępujące ją stopnie, że ją posiada w nadzwyczajnej dłu[gości], złożoną pod parkanem, że nawe[t] sprawił sobie sikawkę, że jest członkie[m] ochotniczej straży ogniowej — wszystko t[o] nieby nie pomogło, gdyby nie użył leka[r]stwa przeciwko specyalnemu lasecznikow[i]. O tym i pokrewnych faktach dr. Korcza[k] przypomniał sobie i odpowiednią baktery[ę] zaraz rozpoznał. Obok niej wiły się inn[e] niepoliczone, chociaż stanowiące jedną r[o]dzinę—*fatygowych.*

Z kolei wziął pięciorublówkę, na któr[ej] odbił mu się piękny laseczník filantropijn[y]. Wywoływana przez tę bakteryę chorob[a] przybiera różne postacie. To objawia s[ię] wstrętem do pisania świadectw lekarskic[h] biedakom pobitym lub chęcią pisania i[ch] zamożnym a niepobitym, to znowu wyst[ę]puje jako odnowa religijnego grzeban[ia] ubogich chłopów i wyrobników lub got[o]wość szczerego modlenia się nad trumna[mi] zasobnych gospodarzów. Rozliczne jej fo[r]my poznać można przy chrztach, ślubac[h], pogrzebach, obdukcyach, procesach itd.

Dr. Korczak badał również dziesięci[o-], dwudziestopięcio- i storublówki a w mia[rę] jak brał wyższej ceny papierki, dostrzeg[ał] bakterye mniej liczne, ale za to bardz[iej] rozwinięte. Dwa szczególnie ich gatun[ki] odróżniały się wspaniałością od innych: l[a]secznik sądowy i popisowy. Są to już ż[y]jątka niemal gołem okiem widzialne, ba[r]dzo zwinne i ssawkami opatrzone.

I tak szeregiem przesunęły się prz[ed] oczyma d-ra Korczaka wszystkie głów[ne] choroby, wszystkie ich bakterye. Nie b[y]kło prawie ani jednej; odra, difteritis, t[y]fus plamisty, ospa, zapalenie płuc, oc[zu], uszu, kiszek, bezrobocia, bankructwa (

Przyczyna ta ze swej strony bez przyczyny nie jest, tej zaś ostatniej szukać należy w nastroju umysłów, zapatrujących się na sprawy polityczne inaczej po rewolucyi francuskiej, aniżeli przedtem. Opinia publiczna tworzyła się i zasad szukała, rozumowała i krytykowała, rozróżniać zaczęła, co słuszne i godziwe, od tego, co było dziełem przemocy prostej. Zapatrywano się, jak na dzieje, z punktu podmiotowego — ze stanowiska interesu własnego. *Hodie tibi, cras mihi.* Grecya przeto, gdy z pretensyami swojemi wystąpiła, znalazła grunt przygotowany w Europie do upominania się o sprawiedliwość polityczną— ideę nową, przedtem nieznaną.

Na obchodzie genewskim jeden z mówców, wspominając o zapale, jaki sprawa grecka wywołała, zaznaczył tę osobliwość, że dowody współczucia składała cała Europa, w Europie atoli odznaczała się Szwajcarya, w Szwajcaryi zaś Genewa. Gdy powstańcy greccy potrzebowali zaciągnąć pożyczkę, kołatali o nią u dworów, starali się po stolicach wielkich europejskich — znaleźli ją w Genewie, za pośrednictwem p. Eynart, który sam wyliczył półtora miliona. Tu objawiało się współczucie najwyższe. Śród miast szwajcarskich, w niej komitety na ten cel zawiązane najgorliwiej i ze skutkiem najlepszym zajmowały się zbieraniem składek, gromadzeniem oręża i dosyłaniem na teatr walki zasobów do podtrzymywania jej potrzebnych. Skądże to pochodzić mogło, jeżeli nie stąd, że ta malutka respublika w tryumfie Grecyi widziała ubezpieczenie losów własnych? Wchodził tu w rachubę interes polityczny, brany z punktu nie gabinetowego. Wdzięczność łączyła się z rachunkiem, bez którego nie byłaby wystąpiła czynnie. Nie mówię o czynności dworów, o interwencyi mocarstw, o bitwie morskiej pod Nawarynem i wysadzeniu na ląd w Peleponesie wojsk francuskich, ale o pomocy, jaką Grecyi niosła publiczność europejska, bez różnicy płci, wieku, wyznań i narodowości. Pomagali im wszyscy intencyą i pieniędzmi. Zapału tego pozostały z czasów owych świadectwa w literaturze powszechnej.

I Grecya się wyzwoliła. Dokonało się dzieło bardzo piękne, które, rozpatrywane z punktu utylitarnego, wyzywa nierzadko zapytanie: *cui bono?* Jaka stąd korzyść dla ludzkości, dla Grecyi samej? Potomkowie ojców wielkich nie wydają zpośród siebie nic, coby miarę pospolitości o włos jeden przechodziło. Na tej ziemi klasycznej postępu nie wykwitnęły ani nauka, ani sztuka; jak przed wyzwoleniem, tak obecnie, jest ona depozytem wspomnień i zabytków archeologicznych, odnajdowanych przez europejczyków dla muzeów w Paryżu, Londynie, Wiedniu, Berlinie. Czy warto było tak się do niepodległości Grecyi entuzyazmować, jak się entuzyazmowała Europa lat temu sześćdziesiąt? Gdyby sprawa jej dziś postawiła się tak, jak stanęła wówczas, czyby wywołała zapał podobny?

Wywołałaby. Mamy na to dowodów w rękach pełno, z pomiędzy których przytoczę najświeższy. Kiedy lat temu osiem zawichrzyło się w Turcyi, nastąpił wybuch powstańczy w Bulgaryi i Wysoka Porta stłumiła go w sposób okrutny. Trzeba było widzieć, jakie czyn ten wywołał oburzenie! Opinia publiczna — taż sama, co Grecyi pomagała — w Anglii nawet, gdzie Turcyę gabinet bronił, oświadczyła się przeciwko państwu ottomańskiemu za bulgarami, którym ze strony Europy najmniejsza nie należy się wdzięczność. Nie doszło to takich, jak dla Grecyi, rozmiarów, spieszna bowiem interwencya rosyjska usunęła racyę, która zainteresowanie się sprawą bulgarską wywołała. Nie ulega jednak wątpliwości, że gdyby interwencya ta była nie nastąpiła, a bulgarowie oręża nie złożyli, sympatya Europy byłaby z nimi tak samo, jak była z potomkami Milcyadesów, Sokratesów, Fidyaszów. Objawia się ona przy sposobności każdej, bez względu na co innego, jak tylko na słuszność sprawy i stanowi rodzaj trybunału, ktory sądzi, wyrokuje i którego wyroki spełniają się prędzej, później, pod postacią tą lub inną. Grecya sprawę swoją wytoczyła i wygrała, Bulgarya wytoczyła i wygrała. Dawniej się to nie działo. Sprawy tego rodzaju rozstrzygały się w gabinetach wyłącznie. Jest to więc — „coś nowego,“ co śród społeczeństw nurtuje.

O grekach powiadają, że zawiedli oczekiwania. Zawiedli? Czyż można po nich żądać, ażeby, po wiekach prób ciężkich i niewoli straszliwej stanęli od razu tak, jak stali lat temu dwa tysiące z okładem? Tradycya się przerwała. Grecya dzisiejsza jest narodem świeżym, młodym, posiadającym w sobie dopiero materyał dla postępu. Wszystko, czego od niej wymagać można, zawiera się w zapytaniu: jak grecy dzisiejsi z tym materyałem się obchodzą? Odpowiedź na zapytanie to wypada zadawalającą. Grecya na drogę postępu weszła i pracuje. Ubóstwo —powiada jeden z podróżników — nie przeszkadza temu, że we wszystkich prawie wsiach greckich zakładają się szkółki; w wielu miejscach, gdzie niema za co szkoły pobudować, dzieci uczą się pod gołem niebem.“ Szkoły średnie są przepełnione. Uniwersytet ateński liczy przeciętnie 1,200 słuchaczów; nie mniej uczęszczanym jest uniwersytet w Korfu; a przytem, niema zakładu wyższego naukowego w Europie, któryby śród słuchaczów nie posiadał greków młodych. W Genewie przy uniwersytecie istnieje od dawna kolonia grecka, w łonie której powstało stowarzyszenie uczącej się młodzieży, pod nazwą *Syllogue national hellénique de Genève.* Ono to obchód rocznicy urządziło. Obok tego istnieje pensyonat grecki dla dzieci. Grecy się uczą — uczą: poszukują światła wszędzie, gdzie je znaleźć można, u siebie i zagranicą. Po miastach znaczniejszych europejskich trzymają się kolegiami, to jest, gromadkami mniej lub więcej licznemi, ogniskującemi się około myśli pracowania dla kraju. Możnaż wymagać od nich czego więcej? Bądźmy cierpliwi — poczekajmy: z mąki tej chleba spodziewać się można *).

T. T. Jeż.

*) Popęd do wykształcenia, mianowicie wyższego jest tak dalece w Grecyi niezaprzeczonym, że aż wytwarza stosunki niepożądane. Statystyka wykazuje, że

---

wysokich jedynie banknotach), dywidendy przemysłowe itd. Na pozór jest to dziwnem, skąd np. lasecznik tyfusowy dostaje się na dziesięciorublówkę? A jednakże jego wędrówka odbywa się bardzo naturalnie. Stróż domu, obowiązany go pilnować dniem i nocą, mieszka wraz z rodziną w futerale pod schodami, w którym nie zmieściłaby się *Encyklopedya* większa Orgelbranda. Za swoją służbę pobiera miesięcznie rs. 8, a łącząc do wynagrodzenia i ów futerał — 10. Ponieważ w takiej norze trzy osoby mogą oddychać tylko zepsutem powietrzem, a $17\frac{1}{3}$ groszy dziennie wyżywić ich nie zdoła, więc powstaje tyfus, którego bakterye pokrywają ową dziesięciorublówkę. Dodajmy do tego, że ona potem służy jako opłata za pogrzeb, procent lichwiarski lub łapówka, a pojmiemy, ile na niej osiądzie najrozmaitszych laseczników.

Dr. Korczak przypatrywał się tym rojom zdumiony. Jako oderwany od życia badacz, nie przeczuwał on wcale, ażeby gładki metal lub papier pieniędzy był siedliskiem tylu drobnych żyjątek, rozpowszechniających zarazę.

Zmęczony tą obserwacyą, która mu tak niespodziewanie odsłoniła nowe widnokręgi, odszedł od mikroskopu, położył się na sofie i tonąc w fantastycznych rozmyślaniach—zasnął. Z bezładnego chaosu marzeń sennych powoli wyłonił się, stanął przed nim zatłuszczony, podarty rubel — i rzekł:

— I czemuż tak dziwisz się, naiwny? Obchodziłeś dotąd życie brzegami, nie zanurzając się w jego głębi — stąd twoje zdumienie. Posłuchaj mojej spowiedzi, a nauczy cię ona więcej, niż mikroskop. Gdy przyszedłem na świat, oddano mnie naprzód wraz z innymi jakiemuś dziwnemu człowiekowi, który nic innego nie robił tylko otwierał i zaklejał listy, przeważnie śpiąc w dzień a czuwając w nocy. W kieszeni jego pozostałem zaledwie przez dwa dni, gdyż trzeciego odstąpił mnie dziwacznej kobiecie, która również spała w dzień a przechadzała się lub gryzła orzechy w nocy. Od niej dostałem się do jakiegoś młodzieńca, który często ją odwiedzał, bił a czasem tylko częstował jabłkami lub szynką. Oddał mnie w restauracyi za kilka kieliszków likieru. Wkrótce z tego schronienia powędrowałem do olbrzymiej kasy magistratu, gdzie odpoczywałem blisko pół roku. Wreszcie, związany w paczkę z towarzyszami, przerzucony zostałem do pugilaresu przedsiębiorcy brukowego, który mnie zgniótł nielitościwie i wsunął w rękę męża zajętego przepisywaniem. Ale ten mąż nazajutrz wypłacił mnie lichwiarzowi, przedtem wszakże tak zmaczał łzami, że długo nie mogłem się wysuszyć. Dopiero lichwiarz obszedł się zomną po ludzku: wyprostował, załamane rogi podwijał i włożył do szuflady. Ale i ten raj trwał krótko: pan mój pożyczył mnie jakiemuś młodzieńcowi, który był widocznie skończonym waryatem, bo zwinął mnie w kulkę, włożył do kieszeni w kamizelce i przejechawszy kilka ulic, dał dorożkarzowi. Na nieszczęście ten coś zawinił żonie. Zaledwie zszedł wieczorem z kozła, został tak przez nią napadnięty, że zapewne dla obrony pochwycił mnie jeszcze skurczonego i cisnął jej w twarz. Upadłem w błoto, a ponieważ było ciemno, długo mnie więc deptali, zanim znaleźli. Sądzisz, że pozwolili mi odpocząć? Gdzie tam! Musiałem tegoż wieczora jeszcze pójść do szynku i kupić butelkę wódki. W dystylarni nie było gospodarza, młody chłopiec zatem mógł mnie swobodnie wsunąć do swej kieszeni. Po zamknięciu sklepu wyszedł, a przebiegłszy kilka ulic, stanął przed małym domkiem, gwizdnął, wywołał tem hasłem również małego przyjaciela, dał mu mnie a dostał kurtkę. Nowy posiadacz nazajutrz rozmienił mnie w dystrybucyi, z której wziął paczkę papierosów. I tu nie zagrzałem miejsca długo, bo wszedł jakiś pan wygolony, który na dystrybutorkę póty krzyczał, aż ja go uspokoiłem. Złapał mnie chciwie i spieszył do teatru; nagle czyjaś ręka przy kasie sięgnęła mu do kieszeni i wyjęła mnie wraz z portmonetką. Właściciel owej ręki biegł długo i zapamiętale, wreszcie wpadł do brudnej, ciemnej garkuchni, w której przy kartach siedziało kilku oberwańców. Zaczął grać — i przegrał wszystkie pieniądze. Ja dostałem się ochrypłemu piaskarzowi, który wytoczywszy się półpijany, upadł w rynsztok i mnie w nim zostawił. Leżałem tam przez całą dobę i czas ten zaliczam do najpiękniejszych chwil mojego życia. Jakże byłem szczęśliwy, zmywając z siebie najrozmaitsze bakterye! Niestety, znalazła mnie śmieciarka, wydała w sklepie, z którego powędrowałem do... Korczaka, strzeż się, bo wkrótce będę użyty przeciwko tobie!

Dr. Korczak obudził się, powstał z sofy zmęczony, a przecierając oczy, szepnął do siebie.

— Paskudny sen! A wszystkiemu winien ten waryat Reinsch w Erlangen.

M. B.

MEDYTACYE ZIEMIAŃSKIE.

List drugi*).

Szanowny Redaktorze. A więc nam istnieć pozwalacie, ba, szanujecie nas pod warunkiem, jeżeli jesteśmy „kapitalistami uczciwymi,“ tj. dopuszczamy się *minimum* „wyzysku“ i podnosimy dobrobyt oraz oświatę ludu. Cudownie! Już jestem pełen dobrych chęci i gorzeję niecierpliwością usłyszenia: jak ów lud podnosić? Gdyby słoń wpadł w bagno, przypuszczam, że nie łatwo byłoby go wyciągnąć. Rada — na nic, bo on jej nie rozumie, a zresztą gdyby się nawet ruszył, zagrzązłby jeszcze głębiej. Wierzę jednak, że gdybyśmy licznie się zebrali i ten gmach mięsa dźwignęli, z pewnością, tak lub inaczej, tą lub inną sztuką, wydobylibyśmy go z trzęsawiska. Ale gdy mi kto każe „podnosić oświatę i dobrobyt ludu“—doprawdy nie wiem, co mam zrobić. Uczyć chłopa rzemiosła, lepszej uprawy roli, handlu? Machnie ręką dobroduszny, błyśnie z ukosa okiem nieufny — i na tem koniec. Choćbyś jak dzięcioł siadł na głowie chłopskiej i stukał w nią dziobem dla wystraszenia tych robaków, które mu toczą mózg —nic poradzisz. Na to, żeby był bogatszym, oświeceńszym, szczęśliwszym—jest za ograniczony i za podejrzliwy. Nasza, a raczej naszych przodków w tem wina—dobrze, ale my jej nawet łzami zmyć nie możemy i musimy tworzyć z takiego materyału, jaki jest. Ulep-że posąg z piasku, który zwilżany i moczony, ciągle się rozsypuje! Nie podlega wątpliwości i wszyscy prawdziwi znawcy ludu to poświadczą, że gdyby „obywatel“ zwołał swoją wieś, która go uważa za człowieka uczciwego, i odezwał się do niej: daruję wam cały majątek, tylko zobowiążcie się piśmiennie, że nie będziecie wybierać z gniazd jaj kuropatwich — z pewnością jedni by powiedzieli, że się namyślą a inni mruknęliby, że niedługo komisarz podzieli między nich ziemię i jaj kuropatwich wybierać nie zabroni. Jeśli kto zacznie dowodzić: szlachta powinna na piaskach sadzić szparagi lub orzechy amerykańskie, rozrzucać po polu własnemi rękami nawóz, oświetlać stajnie elektrycznością, śledzić za postępami nauki itd.—wszystko to wyda mi się bardziej możliwem, niż materyalne i umysłowe podnoszenie ludu. Zeszłego roku darowałem jednemu z rozumniejszych gospodarzy kilkanaście szczepów owocowych. Zakopał je koło domu, ale niepielęgnowane poschły. Gdy mu wyrzucałem niedbalstwo, odrzekł: „Albo to tam kiedy pańska łaska na chłopskiej ziemi się przyjęła.“ I szczerze wierzył, że ja byłem winien, podobnie jak jest przekonany, że zając, który mu przeleciał przez drogę, winien złamania się osi.

A teraz, szan. panowie, zechciejcie sądzić ludzi po ludzku. Pobudką filantropijnego działania może być sam rozum, lecz podtrzymywać zapał do poświęceń zdolne tylko pożądane skutki lub wdzięczność. Jeżeli doktor leczy bezinteresownie chorego biedaka i widzi powracające jego zdrowie, albo przynajmniej słyszy od niego słowo dzięk czynne—jest wynagrodzonym, zachęconym do dalszych usiłowań. Ale jeżeli ten chory zamiera z uporu, jeśli swego zbawcę podejrzywa o podsuwanie mu trucizny i złorzeczy podawanym lekarstwom, co dziwnego, że doktór, zrażony, traci nadzieję i usuwa się? Ten właśnie wypadek zachodzi przy stosunkach dworu z chatą. Bratajcie się z ludem, uczcie go, wspierajcie! Tak brzmi nakaz ze sfer liberalnych. No, niech panowie komendanci porzucą swoje gabinety, zejdą na nasz padół i sprobują bratać się z ludem, uczyć go i wspierać! Nie licząc bardzo wyjątkowego powodzenia, mniemam, że po kilku smutnych doświadczeniach umknęliby do Warszawy i złagodzili nieco surowość swych klątew. Byłbym szczerze wdzięczny, gdyby paru demokratów najradykalniejszej barwy zechciało przepędzić u mnie wakacye i wskazać środki do wywierania wpływu na lud. Znałem jednego z takich. Powtarzał mi: jedz pan z chłopami, spij pod ich strzechą, dziel ich radości i smutki. Jadłem, spałem, dzieliłem radości i smutki, a wypełniwszy przepis dokładnie, stoję na tym samym punkcie, na którym stałem, i tylko raz opuściłem go dla wytłomaczenia się w powiecie, co znaczą te moje noclegi i biesiady z chłopami. Sami oni z początku mniemali, że umizgam się do nich dla usunięcia służebności, a potem głośno mówili, że mnie jakiś giez ukąsił. A chociaż wszystkie te usiłowania nie odniosły pożądanego skutku, stanowią eksperyment, na który odważyć się mogą tylko ludzie młodzi i rozmarzeni. Większość ani do takich poświęceń nie przystąpi, ani—sprawiedliwie rzecz sądząc—nie jest do nich obowiązaną. Jeżeli moi czytelnicy nie znają stosunków wiejskich, ale posiadają najzwyklejszą intuicyę psychologiczną, przyznać muszą, że wymagać od obywateli ziemskich, ażeby całowywali chłopów, którzy się od nich odwracają plecami, jest co najmniej przymusem nieludzkim. Bo czy na takie ofiary zdobywa się fabrykant względem swych robotników, kupiec — względem oficyalistów, pan — względem służących, chociaż w tych stosunkach mieści się daleko więcej zaufania, niż między dworem a chatą? Pewna moja znajoma w Warszawie postanowiła być dobrodziejką sług. I cóż? Po dwu latach zaniechała tego apostolstwa, gdyż ono ją zupełnie zawiodło.

Mnie się zdaje, że dopóki sam ustrój społeczny będzie podtrzymywał przepaście między stanami, najszlachetniejsze popędy już nie jednostek, ale całych warstw będą się rozbijały o niemożność porozumienia się, a wszelkie pobudki, zachęty i nagany, żądające od ludzi ofiar nadludzkich, pozostaną w znacznej części daremne. Chłop najrozumniejszego i najuczciwszego „szlachcica“ nie pojmie, bo jest ciemny i podejrzliwy, jego zaś cywilizator nie pokona swoich wstrętów do poniżania się przed barbarzyńcą, który go odtrąca.

W samej więc naturze ludu naszego spoczywa przeszkoda dla obywatelskiej pracy. A warunki, w jakich te skostniałe lub nierozwinięte organizmy żyją? Załóż szkołę, ochronkę dla dzieci, gospodę. Ach, miłosierne niebo, spraw, ażeby choć raz jeden gorący demokrata warszawski sprobował na wsi założyć szkołę, ochronkę lub gospodę! Dam pieniędzy na doświadczenie — niech mi tylko będzie wolno napawać się widokiem jego tryumfu! Gdy czytam lub słyszę dowodzenia, lekko przeskakujące każdy rów, każdy płot na tej drodze, przypomina mi się rozmowa z pewnym warszawiakiem, który moją skargę na rozpowszechnione koniokradztwo odparł argumentem:

— Dla czegóż wy, u dyabła, tych koni na noc nie zamykacie?

— Zamykamy.

— To sprawcie sobie lepsze kłódki.

— Sprawiamy.

— To trzymajcie złe psy, czujnych stróżów...

— Wszystko trzymamy.

— To chyba nie dajecie natychmiast znać straży ziemskiej.

I ten człowiek był przeświadczony, że jego koń by nie zginął. Takąż samą wartość posiadają nieraz zdziwienia nad bezczynnością szlachty. Każdy dzień w roku wypełniłbym urzeczywistnieniem jednego z wybornych a udaremnionych pomysłów, gdyby fantazyjne warunki chłopomanów nie istniały tylko w ich głowie. „Niech się sąsiedzi zjadą i naradzą.“ Cóż prostszego nad ten frazes, nakreślony niedawno w pewnem piśmie piórem bogatego w projekty reformatora. A przecież, ażeby „zjechać się i naradzić“—to nie dość wytoczyć z wozowni bryczkę, zaprządz do niej konie i za godzinę rozpocząć dyskusyę z sąsiadem. Ileż razy z połowy drogi wracać trzeba!

Nie chcę was pozostawiać pod wrażeniem bezwzględnego pessymizmu i zaprzeczać praw istniejących lub czynów dokonanych. Cóś biedny szlachcic, gdy go dobre chęci ożywiają, zrobić może i robi, ale praca jego w rachunku społecznym wielkich cyfr nie przedstawia. To przekona chłopa o potrzebie jakiejś zmiany w gospodarstwie, to mu da nieznanych nasion, to namówi do czytania *Gazety świątecznej* lub popularnej książeczki, to na zebraniu gminnem podsunie myśl pożyteczną—ot i wszystko! Pisaliście o potrzebie „kółek włościańskich,“ głos ten przeleciał nam koło uszu tak samo, jakby przeleciała rada rozkupienia akcyj kolei żelaznej na księżyc. Za gruby mur — za miękka głowa. Jeżeli tu i owdzie na wydmie lub błoniu wyrosły kłos wart jest zżęcia i wyłuskania, to przesyłam wam wiadomość, że czytelnictwo pism i książeczek śród ludu powoli się wzmaga. Zwłaszcza wydawnictwa Promyka mają powodzenie. A zahukana i gnana do pracy obywatelskiej szlachta tak gorliwie ten obowiązek spełnia, że rozpowszechnia druki warszawskie, nawet nie znając ich treści i kierunku. Przyznaję się do grzechu: sam sprowadziłem kilka broszurek Promyka i rozdałem chłopcom wiejskim na gwiazdkę bez przejrzenia. Nie sądźcie, ażeby to było niedbalstwo: nie, jest to tylko gorączkowy pospiech. Niech czytają, niech się co prędzej uczą, niech im się w głowach rozwidnia bezwłocznie.

Kończę moją gawędkę dzisiejszą, dla której otworzyliście mi kolumny *Prawdy*, i czekam Waszych uwag.

Pielesz.

w Grecyi syn prawie każdej nieco zamożnej rodziny kończy uniwersytet, skutkiem czego powstał olbrzymi i groźny proletaryat umysłowy. Ludzie ci bowiem łakną tylko karyery urzędniczej i dla niej tak wysoko się wspinają, a o innych (np. przemysłowych) zawodach myśleć nie chcą. *Red.*

*) Por. nra 13 i 14 *Prawdy*.

LITERATURA UKRAIŃSKA.

I.

Biografia Szewczenki. — P. Czałyj i jego tendencye. — Stronność i bezkrytyczność jego pracy. — Broszurka p. Kulabki.

Widząc, że w piśmiennictwie polskiem panuje powszechna prawie nieznajomość szybko rozwijającej się w naszem sąsiedztwie literatury ukraińskiej, a są nawet pisemidła, traktujące ją z jakąś niepojętą w świecie nauki wyniosłością, powziąłem myśl napisania szeregu sprawozdań z tego ruchu umysłowego, jaki przejawia się ostatniemi laty na Ukrainie. Pragnąłbym dla tej niewiadomości przerzucić jakiś mostek.

Zacznę mój przegląd od biografii Szewczenki. Właściwie Szewczenko dotychczas biografii nie ma, chociaż istnieje dla niej bardzo obfity materyał. Rozrzucony on po licznych miesięcznikach rosyjskich, w *Osnowie* i w oddzielnych broszurkach, jak np. Czubińskiego *Wospominanija o Tarasie Szewczenkie* (Petersburg 1861). Nie jest jednakże zadaniem mojem ani obliczać i krytykować ten materyał, ani go zestawiać, ale nie mogłem nie wspomnieć o wielkiem, stosunkowo, jego bogactwie, bo, bądź co bądź, służy on do odtworzenia postaci i charakteru wielkiego ukraińskiego poety i jego epoki. Wstęp ten wydawał mi się koniecznym z powodu właśnie książki p. Czałego *); którą on sam nazwał „zbiorem ma-

*) *Żiźń i proizwiedenija T. Szewczenki*, Kijów 1882.

teryałów dla biografii.“ Czemże w istocie jest ta praca, nosząca szumny tytuł: *Życie i dzieła Tarasa Szewczenki?*

Obecnie wyrobiła się w pewnem kółku ukraińskiem opinia, że książka p. Czałego jest powagą odnośnie do traktowanego przedmiotu. Jeżeli będziemy patrzeć na rzecz z punktu wdzięczności dla autora za to, że szanując pamięć wielkiego poety, podjął się próby napisania jego biografii, a raczej, jak sam mówi, zebrania tylko materyałów do niej—można naturalnie być *bardzo* pobłażliwym. Krytyka jednak nie ma prawa powodować się łagodnością lub sympatyami; ona nie zna autorów, ani też pobudek wewnętrznych, które ich do pisania skłoniły, ale zna tylko i ocenia wyniki ich pracy. Otóż z tego stanowiska dziełko p. Czałego nietylko powagą żadną nie jest, ale przeciwnie—miernotą, klejoną samowolnie, i tendencyjnie z takich skrawków, które były potrzebne do wystawienia własnej ultra-lojalności autora, do charakterystyki wszakże poety nie przyczyniły się ani odrobiny. Może tendencyjność popsuła robotę. Autor, ażeby się utrzymać na stanowisku biografa, nie miał dostatecznego spokoju i rozwagi; chcąc zaś ujawnić swoje upodobania (w jakim celu on tylko jeden wie zapewne) z wydawcy *materyałów* stał się kompilatorem.

Z łatwością przyjdzie nam te zarzuty usprawiedliwić.

P. Czałyj traktuje pewne zdarzenia i fakty samowolnie, i co z tego wynika — niekonsekwentnie. Opowiada np. stosunek poety do polki — szwaczki w Warszawie, raczej nadmienia o tem; bądź co bądź, owa szwaczka, nieznana nam dzisiaj nawet z imienia, musiała niepospolity wpływ wywrzeć, kiedy sam Szewczenko o niej mówi, że „uszlachetniła go i podniosła we własnej opinii.“ Tymczasem p. Czałemu zdaje się, że znajomość ta nie obeszła się „bez ofiar,“ bo „kochanka—ironizuje autor — wymogła na poecie zrzeczenie się w rozmowie z nią *chłopskiego* języka.“ Na czem swój domysł opiera, nie tłomaczy się wcale, twierdząc dalej z niedarowaną naiwnością, że „w rozmowie owa kochanka posługiwała się tylko polską mową.“ Dla podobnych biografów nie istnieje chyba historya. P. Czałyj, który był inspektorem gimnazyum w Kijowie, a więc uniwersytet ukończył, powinien był wiedzieć, że w Warszawie przed r. 1830 nikt w tej sferze, w której był Szewczenko, nie *umiał* inaczej, jak po polsku, a język rusiński był tam tak nieznany, jak i chiński. Gdyby mu nie chodziło o przylepienie w tem właśnie miejscu swoich płytkich uwag ni w pięć ni w dziewięć, byłby może zdołał ocenić inaczej, zarówno wpływ ubogiej szwaczki na Szewczenkę, jak i jego znajomość polskiego języka, inaczej, bo w rzeczywistości znajomość ta była mu wielką pomocą do wykształcenia samego siebie. Wie dobrze o tem p. Czałyj, bo mówi przecie, że Szewczenko lubił czytać Mickiewicza i Estetykę Libelta. Zresztą polski język zbliżył go potem z oświeconymi polakami, osiedlonymi w stepach uralskich—o czem później wspomnimy.

Duch fałszywie pojętego patryotyzmu — a trzeba przyznać, że p. Czałyj chętnie w tym kierunku pozuje—wiejo zawsze, ilekroć razy potrzeba malować stosunki Szewczenki do polaków, a gdzie autorowi polaka brakuje, sam go stworzy, aby mieć przyjemność wylać nań cały swój zapas żółci. Tak np. rządcę domu Engelhardta w Petersburgu, Prechtla zrobiwszy polakiem, błotem obrzuca za to, że chciał raz ukarać Szewczenkę, który, porozumiawszy się z usługą Engelhardta, bałamucił ją jakiemiś rozmowami. Co też zyskuje pamięć Szewczenki na tych łajaniach?

Nagadawszy się trochę o rozmaitych męczarniach biednego poety, sentencyonalnie wykrzykuje: „My przywykliśmy do tych codziennych objawów *russkiego* życia! Czego też nie wycierpi *russki* człowiek!“

Wogóle stanowisko p. Czałego jest tak dziwnie dwuznaczne i takie niejasne, że nie można się wcale dowiedzieć, do jakiej narodowości on sam siebie zalicza, a do jakiej chce, ażeby go zaliczono. Chociaż nie ma to żadnego związku z zachowaniem się p. Czałego, ale *à propos des bottes*, opowiadają my śliwi o szczwanym lisie, który napadany tuż—tuż przez psów kiwa kitą to na prawo, to na lewo; psy naturalnie — za kitą... Takich lisów u nas już mało, a i te, co są, wkrótce staną się domowemi zwierzętami. Prawda, p. Czałyj?

Długi bardzo okres pobytu Szewczenki na Uralu przez szan. biografa również spaczony został—bo ciekawe bardzo stosunki poety z polakami pominięte są lub skarykaturowane. Zamiast, żeby rozjaśnić stosunek np. Sierakowskiego i Sowy do Tarasa, p. Czałyj pisze o tem, jak Sierakowski oszukiwał rząd, jak przy Hudyszkach był wzięty przez generała Słoneckiego do niewoli i życie zakończył na szubienicy. Cieszą go widocznie losy „przyjaciela Szewczenki,“ ale nie wyjaśnia bynajmniej ani korespondencyi, ani posłania „O zlaniu się jednoplemiennych braci,“ chociaż z tytułu biografa, czy zbieracza materyałów mógłby to wyjaśnić—bodaj po swojemu. Już z tego jedynego, ale serdecznego listu Sierakowskiego do poety, w którym on pisze: „Pierwsza sprawa — twoja bat'ku,“ a który p. Czałyj przytacza, mógłby pewne wnioski wyprowadzić.

Taksamo traktuje i stosunek z Sową i Zaleskim Bronisławem, przytaczając jedynie kilka listów, które mu się podobały — chociaż znał i więcej.

Co to za sposób zbierania materyałów do biografii lub pisania życiorysu—nie umiem sobie tej zagadki rozwiązać. Uskarża się p. Czałyj szorstko, jak zwykle, na to, że polacy „oboszli Szewczenka,“ co tyle znaczy, że go niby wyprowadzili w pole, a tymczasem *sam* mówi o tem, że ów Szewczenko, oszukany przez polaków, jak tylko otrzymał pozwolenie wracać do Petersburga, miał zamiar jechać na Mińsk, Nieświż do Czarkowicz, aby tam „uściskać drogiego Bronisława.“

Słowem, p. Czałemu bynajmniej nie chodzi o prawdę, ani o to, ażeby objektywnie narysować obraz wielkiego człowieka, ale o to, ażeby go przedstawić w świetle własnych poglądów i tendencyj, a może... jeszcze o co—ale domyślać się nie chcemy.

Stojąc na wstrętnym gruncie politycznych nienawiści, gruncie sztucznie stworzonym i utrzymywanym, na którym ludzie światli i uczciwi już się trochę poznają, p. Czały nie umie i nie może się zdobyć na sąd własny o Szewczence; wszędzie, gdzie się tylko dotyka krytyki, jest słabym, z faktami obchodzi się po barbarzyńsku, ale nic z nich wydobyć nie umie więcej nad sferę swoich własnych hajdamackich poglądów, zapominając o tem, że jeśliby hajdamaczyzna i była sto lat temu bohaterstwem, dziś już być nie może. Krwawe rany zadawane narodowi już się nożem nie goją. Cała krytyka utworów poetycznych Szewczenki jest u p. Czałego zlepkiem dwu prac, o czem on i sam zresztą bardzo nawiasowo wspomina; raz „zlekka“ korzysta z artykułu P—iego, a drugi raz, gdy rzecz idzie właśnie o ocenienie charakteru poezyi Szewczenka, wypisuje „grubo“ z monografii P. Battaglia: *Taras Szewczenko—życie i pisma jego* (Lwów 1865). I w tem właśnie fakcie przebija się ta anormalne a raczej fałszywe stanowisko, jakie autor obrał sobie względem polaków, bo nałajawszy na wiatr, ile dusza zapragnęła, jak tylko przyszło do rzeczy na seryo, poszedł po rozum do... wyłajanych. Podobał mu się i sąd p. Leonarda Sowińskiego (z wyjątkiem o *Hajdamakach*, gdyż ten poemat jest dla p. Czałego ideałem) i sąd Battaglii.

Wszędzie, gdzie tylko odstępował z drogi wskazanej umiarkowaniem i prawdą poprzedników, zdradzał wielki brak ducha krytycyzmu. Najwyżej stawi *Hajdamaków*, od których, jak mniema; „rusini są w zachwyceniu.“ Nie tu miejsce na krytykę powyższego poematu, a mimo to musimy się nad nim nieco zastanowić, ażeby wykazać właśnie stronność i płytkość zachwytów p. Czałego. On w *Hajdamakach* widzi tylko uosobienie zemsty w postaci Jaremy, Gonty i Żelezniaka. Trudna to sprawa walczyć z krytykami, którzy umieją „czytać drukowane,“ ale nie umieją odgadnąć myśli autora i nie szukają jej i do serca poety zajrzeć nie mogą, czy nie chcą. Oni widzą obrazy, olśniewa ich blask kolorytu, ale po za farbami nie widzą duszy artysty. W ocenie p. Czałego przebija się brak jednej prawdy, widocznie nieznanej mu: że wielkość człowieka mierzy się wielkością jego zasad i szlachetnością jego uczuć; w sercu, w którem rozgorzała miłość dla narodu nie ma miejsca dla nienawiści ani plemiennych, ani osobistych. Wszystko to, co się nam nienawiścią wydaje lub wydawać może, jest tylko odbiciem się w obrazach tej niezgłębionej boleści, która się rodzi w wielkiej duszy człowieka, świadomej tych wszystkich następstw, jakie nienawiść i niezgoda przynoszą ludzkości. Nie złe idealizowała dusza Szewczenki, on postawiwszy przed oczy dzisiejszego pokolenia obraz krwawych i strasznych walk przebytych, ukazał im zdaleka następstwa i całą grozę i okropność tego ludożerstwa, którego nigdy żaden *człowiek* usprawiedliwić nie może.

Szewczenko nie głosił wcale, jak mu to chcą narzucić usłużni a fałszywi „narodolubcy,“ idei nienawiści; był to umysł nadto *niezależny*. Znając bardzo dobrze to tło historyczne, na którym odegrywano dramat—hajdamaczyznę, ganił tylko za to Polskę,

...szczo ne wmiła w dobri panuwat' (100) *).

Dusza jego oburzała się na krew przelewaną, sam siebie on zapytywał z goryczą:

Za szczo ludy hynut'?
Tohoż bat'ka, takiż dity
Żyty-b ta bratat'sia,
Ni ne wmiły, nie chotiły
Treba rozjednat'sia!
Treba krowi, brata krowi — —.— (109).

Najlepiej przecież tego dowodzi charakter Gonty, który uniesiony duchem nietolerancyi i krwawym widmem wojny, która rozpala najłagodniejsze umysły, morduje własne dzieci, a potem ucieka od współtowarzyszy napół przytomny z bolu, trupy ich odszukuje i sam grzebie. Tak postępuje człowiek chory lub z duszą zbolałą, ale nie zbrodzień pospolity.

Szewczenko, napisawszy *Hajdamaków*, kończy poemat epilogiem, w którym tyle jest goryczy i bolów, że warto było, ażeby biograf coskolwiek o nich powiedział.

Posijały hajdamaki—mówi poeta.
W Ukraini żyto,
Ta ne wony joho żały—
Szczoż majem robyty?
Nema prawdy, ne wyrosła,
Krywda powywaje... (137).

W przedmowie zaś, umieszczonej na końcu, powiada: „Serce bołyt', a rozkazuwat' treba: nechaj baczat' syny i wnuky, szczo bat'ky ich *pomylałyś*, nechaj bratajut'sia znowu z swojimi worohamy...“ (141). U p. Czałego cały ten ustęp wyszedł zupełnie inaczej—w *tłomaczeniu*, a o tej „prawdzie, która nie wyrosła“—*nie wspomina nawet*.

Słowem, niepoliczone razy przychodziłoby nam skonstatować, że — p. Czałyj wyrobił sobie naprzód pojęcie o ukraińskim poecie, który według jego wyobraźni powinien był chodzić z „świaczenym w cholawi“ i do tej miarki wcisnął wielką duszę Tarasa, obcinając ją według swoich wzorów.

Książka więc p. Czałego, jak to już wy-

*) *Kobzar*, Petersburg 1883. Wszystkie cytaty są z tego wydania.

żej powiedzieliśmy, nie jest ani biografią, ani zbiorem materyałów.

Jeszcze słówko o języku. P. Czałyj, pomimo pozowania na ukraińca i „narodolubca“ nie odważył się pisac w mowie ojczystej, więc pisał rzecz „obszczeliteraturnym językom.“ Na czem on pokłada pewne cechy narodowości — nie umiałbym domyśleć się z jego pracy i nikt zapewne nie domyśli się tego; boć jest to rzeczą logiczną, że chińczycy piszą i mówią po — chińsku, francuzi po—francusku, a p. Czałyj „obszczeliteraturnym jazykom.“

Charakterystyka tego języka polega na stosowaniu przez p. Czałego w piśmie mieszaniny lingwistycznej, jakiej nie rozżują z pewnością ludzie, znający język rosyjski, który zresztą, powiedziawszy nawiasem, w neologizmach wprowadzonych przez p. Czałego nie czuje najmniejszej potrzeby. Oto próbka: pod ubogoju bat'kowskoju *striechoju* (26); *maluja sztachiety* (26); ona *prywitała* jewo (99); *szczyro* predannawo (107) itd. Po co ta licha komedya?

Na pożegnanie z p. Czałym trzeba chyba przypomnieć mu ukraińskie przysłowie: *ne tudy do wody!* Biografia takiego człowieka, jak Szewczenko — to historya jego czasów, wydanie materyałów do biografii jego — to wydanie materyałów historycznych, a z materyałem historycznym tak bez ceremonii obchodzić się nie można. Ludzie nie są tak naiwni, ażeby się na tym nie poznali.

Krótki biograficzny rys życia Szewczenki wydany przez J. N. Kulabkę*) niema pretensyi do samodzielności; on wyraźnie mówi, iż korzystał z książki p. Czałego, chociaż umiejętniej niż p. Czały dane zbierał. Drugim źródłem dla p. Kulabki służył *Kobzar*, ostatnie wydanie, ale autor niewiele z niego wycisnął. Praca ta, widocznie przeznaczona dla ludzi małego wykształcenia w celu spopularyzowania imienia wielkiego poety ukraińskiego, z tych granic nie wychodzi wcale — i w tem właśnie cały jej pożytek. Broszurka pisana również po rosyjsku, jak i książka p. Czałego, ale bez pretensyi.

F. Rawita.

„PIERWOTNI.“

Talent p. Orzeszkowej, który już dojrzał ostatecznie i wyjaśnił się, jest na wskroś publicystycznym. Zaletę jej utworów stanowi wybitna tendencyjność w lepszem znaczeniu tego wyrazu, nie wimię abstrakcyjnych mrzonek naginająca wątek powieści do pewnego celu, niegwałcąca prawdy realnej i poruszająca nicią z góry powziętej myśli—maryonetki, któro przedstawiać mają żywych ludzi, ale ta tendencyjność, która wsłuchuje się w bicie społecznego tętna, bada prądy chwili i stara się określić ich granice i kierunek. Bezwątpienia, autorka jest realistką, o tyle wszakże, o ile bada zjawiska życia rzeczywistego; umysł jej żywy i bystry odzwierciadla potrzeby i dążenia chwili obecnej, ale właśnie ta zdolność odczuwania i analizy społecznych zjawisk, zdolność konieczna dla publicysty, osłabia artystyczną wartość jej utworów. Bohaterowie Orzeszkowej — to żywcem zawsze wzięci przedstawiciele różnych sfer społecznych; osnowa powieści — to tryskający prawdą obraz starć i krzyżowania się stosunków ludzkich, oświecony błyskiem myśli dociekającej głębi i istoty zjawisk—ale po za tem nie widzimy nieraz wcale duszy człowieka. Brak analizy psychologicznej jest największym niedostatkiem talentu znakomitej autorki; niedostatek to, że tak powiem, organiczny, zawarunkowany naturą jej uzdolnień. Czuje ona to może sama i probowała nieraz brak ten uzupełnić, ale próby, z małymi wyjątkami (niektóre drobne nowelki), wypadają zwykle niefortunnie. Wrażliwość, odczuwająca najlżejsze powiewy unoszących się w atmosferze społecznej prądów, szczero i gorące apostolstwo wyraźnie zarysowanych, wyrozumowanych i niezłomnych przekonań, szerokość i swoboda poglądów—wszystkie te zalety dobrego publicysty znajdujemy w powieściach Orzeszkowej. Zakończenie ich — to zawsze prawie rozwiązanie pewnej kwestyi, rozwiązanie, na które można się nie godzić, ale któremu jasności i szerokiego postawienia przedmiotu odmówić niepodobna. Że to proste rozcięcie publicystycznym mieczem gordyjskiego węzła stosunków ludzkich pozostawia nierozplątanymi mnóstwo supełków psychologicznych, nad którymi trudzić się musi czytelnik — to inna rzecz. Krytyk wszakże musi brać autorkę taką, jak jest, i nie stawiać wymagań z właściwościami talentu jej niezgodnych—a taką jak jest — pozostanie Orzeszkowa jedną z najznakomitszych i najsympatyczniejszych autorek polskich, bo artystyczne braki jej utworów z lichwą nam wynagradza społeczne ich znaczenie. Jest ona wytrwałą i utalentowaną bojowniczką pewnych zasad, wybitną przedstawicielką pewnego obozu — z tego więc tylko stanowiska sądzić ją należy.

Dla nas właśnie ta publicystyczna strona utworów Orzeszkowej ma swoją wielką wagę. Ale wrażliwość, żywo odczuwająca przejawy nurtujących w społeczeństwie prądów, bystrość myśli, w lot chwytająca treść i znaczenie obserwowanych zjawisk, skłaniają ją często do zbyt pośpiesznych, niedokładnych uogólnień. Jest to zresztą może zauważona już przez Spencera właściwość umysłów kobiecych, tem bardziej, że i druga ich cecha—konkretność stanowi wybitne znamię utworów naszej autorki. Wyżej to już zaznaczyłem, mówiąc o analizie jej powieści, w których prawda zewnętrzna, pochłania i na drugi plan odsuwa wewnętrzną, psychologiczną. Realizm jej polega na tem, że bierze ona wprost z rzeczywistości, związaną pewnymi stosunkami grupę ludzi i przenosi ją z zachowaniem fotograficznego podobieństwa na papier. Nie idzie mi oto, żeby autorka z drobnych rysów tworzyła typy, ale żeby dobierała przynajmniej odpowiednie, z życia wyjęte postacie. Tymczasem metoda jej—która szczególnej uwydatniła się właśnie w *Pierwotnych*—jest pierwotnym, grubym eksperymentalizmem, który przeżył już się w nauce, ale w literaturze pięknej znajduje jeszcze zwolenników. Co zaś gorsza, że na tej metodzie cierpi najwięcej tendencya, o której, prawdopodobnie, głównie autorce chodzi.

Powieść ta najlepiej może uwydatnia wszystkie przymioty i braki talentu Orzeszkowej. Fabuły tu nie ma prawie, a raczej jest ona luźną, nie wiążącą się ściśle w szereg uporządkowanych wypadków, pełną wstawek, taką wł śnie, jakiem bywą rzeczywiste, niewymyślone życie ludzkie. *Pierwotni*—to cała galerya typów ludzi, zajmujących różne stanowiska społeczne, starych i młodych, arystokratów i prostaków, w których jednak, bądź to pod maską zewnętrznej, wykwintnej kultury, bądź z rubaszną, nieokrzesaną szczerotą, wybijają się instynkty poziome, pragnienia grube, pożądania nikczemne. Pytanie tylko, czy to są w samej rzeczy *pierwotne* popędy, czy też raczej objawy zgnilizny, która ogarnęła zarówno przedstawicieli pewnej warstwy społecznej: i tych co zaczerpnęli ze zdrojów powierzchownej cywilizacyi, i tych, co ze swojskiej gleby wciągali w siebie niezdrowe soki; których wytwarza nie cywilizacya, ale cały ustrój społeczny, wspólny mieszkańcom Paryża i cichego litewskiego zakątka.

Na pierwszym planie stoi p. Iza Odropolska, idealna, pobożna kandydatka na świecką zakonicę, która wszędzie szuka idei i przedmiotu dla zapełnienia swojej duchowej pustki. Ideę znajduje w Rzymie, w konfesyonale ojców jezuitów, przedmioty — podczas wycieczek do miejsc kuracyjnych— w osobie rumuńskiego bojara, niemieckiego barona itp. Typ to zresztą nie nowy, ale przedstawiony świetnie. Na córkę jej młodziutkę, Adolfinę, zlała autorka wszystkie blaski poezyi i współczucia. Młoda ta osoba, wychowana w ciągłych podróżach, okazuje się, ni stąd, ni zowąd, idealną bohaterką, dążącą do prawdy, do poświęceń gorących, do celów nieuchwytnych, ale wzniosłych. Jakim trafem ten piękny kwiatek wyrósł i wyhodował się na gruncie zgniliżną przesiąkłym, w atmosferze zapełnionej niezdrowymi wyziewami — trudno docieć. Orzeszkowa objaśnia tę psychologiczną niekonsekwencyę tem, że gdzieś na szerokiem świecie „wionął na nią pytający, ogniami żądz i tematów przejęty duch czasu.“ Skąd? „Z rozmowy jakiejś zasłyszanej w opylonym wagonie lub na szczycie wspaniałej góry, lub śród zieleni ogrodu publicznego, z książki wypadkiem znalezionej, lub przeczytanej ukradkiem.“ Co prawda, duch czasu nie jeździ w wagonach pierwszej klasy, rzadko wspina się na szczyty gór i spaceruje po ogrodach, chociaż nie jest niemożliwem, aby ów „wieczny rewolucyonista,“ jak go nazwał Słowacki, nie wkradł się podstępnie do najtroskliwiej strzeżonych przybytków niewinności; ale żeby zasiew przezeń rzucony zakiełkował, potrzeba odpowiednio przygotowanego gruntu.

Adolfina przybywszy z matką na czas krótki do rodzinnego majątku spotyka bratnią duszę, którą okazuje się (pozornie) niejaki Eugeniusz Skiba, wydalony student petersburskiego uniwersytetu, uważany przez mieszkańców parafii na niebezpiecznego socyalistę. On to wykładał żądnej prawdy dziewczynie „nicość, śmieszność, złość wszystkiego, co istnieje na ziemi.“ Pomiędzy temi sceptycznemi tyradami tułały się tu i owdzie „dziwnie niepochwytne, rozwiewne idee i ideały. Życie na łonie natury, niewiadomo jakie i gdzie prowadzone. Służenie cierpiącej ludzkości — niewiadomo jakimi sposobami. Praca, niewiadomo jaka i dlaczego dokonywana. Swoboda nieograniczona i niezawarunkowana niczem.“

Eugeniusz jest synem chłopa, sierotą przygarniętym i wychowanym przez żonę dzierżawcy dóbr odropolskich — Żytnicką. Pyszna to para ci Żytniccy — i oni oboje rzeczywiście na miano *pierwotnych* zasługują. On prawdziwy niedźwiedź litewski, flegmatyk, zapalony gospodarz, ona krzykliwa, próżna, grubo zmysłowa, gospodarna szlachcianka. W gruncie rzeczy oboje, jak to zwykle mówimy, nieźli ludzie. Do wychowańca swego przywiązali się, ona zwłaszcza, ale przy sposobności wytykali mu ustawicznie chamskie pochodzenie. Chłopak sprytny prędko poznał głupotę przybranej matki i nieuctwo jej męża, wyzyskiwał ich, ale i znienawidził, za ciągłe pomiatanie. Oddany do uniwersytetu przechodził z wydziału na wydział, wreszcie powrócił na wieś i siedział dwa lata bez żadnego zajęcia. Czas spędzał na czytaniu książek, marzeniach i szydzeniu z wszystkich i wszystkiego. Spotkawszy Adolfinę, zajął się nią i zaczął propagować swoje zasady (jakie?), ona zaś pokochała go pierwszą wielką miłością, a wraz z nim pokochała, ideje, których był niby przedstawicielem Niewiadomo, jakby się to skończyło, gdyby do Żytnickich nie przybył brat jej Kołowicz, urzędnik do szczególnych poruczeń przy turkiestańskim gen.-gubernatorze. Kołowicz błysnął przed oczyma młodego sceptyka perspektywą korzystnego *podriadu* i zabrał go z sobą do Taszkientu. Zraniona boleśnie w najszlachetniejszych swych uczuciach (ujawnił się także romans Eugeniusza z pokojówką Franką), odchorowała to przejście, wpadła w ponury pesymizm i wyszła za mąż — za hrabiego Pomienieckiego, szambelana berlińskiego dworu.

---

*) *T. H. Szewczenko.* Kijów 1884.

Streszczenie to słabe zaledwie dać może czytelnikowi pojęcie o powieści. Niepodobna przytaczać świetnie nakreślonych scen, porozrzucanych tu i owdzie uwag; niepodobna zwłaszcza w kilku słowach scharakteryzować wybornie pochwyconych typów. Tymczasem one właśnie stanowią całą wartość utworu. Szambelan Pomieniecki, kosmopolita, filar istniejącego porządku; drugi filar — eks-intendent Kołowicz, typ swojskiego karyerowicza, hrabia Ireneusz członek towarzystwa pornografów paryzkich, rozdający wszystkim jego godła, złote świnki, żona jego Cezarya światowa kobieta, również zaszczycona przez pornografów złotym zegarkiem z wyobrażeniem świni, Sanicki safanduła, który cały majątek stracił na przyjmowanie gości, żona jego zapoznana bohaterka itd. A sceny pyszniejsze jedna od drugiej. Głupota, nikczemność, wyrafinowane zepsucie dostarczają do nich wątku. Nikt może jeszcze ze skalpelem analizy nie sięgnął tak głęboko do wnętrza uprzywilejowanej sfery społeczeństwa i z taką śmiałością nie odsłonił pozorów, po za którymi kryje się tyle zgnilizny moralnej, tyle duchowego upodlenia.

To — śmiałą, pewną ręką; grubymi, ale prawdziwymi rzutami nakreślone, tło obrazu wykupuje drobne jego usterki i wady.

Na tendencyę utworu zupełnie moglibyśmy się zgodzić, gdyby nie jedna okoliczność, słabo nawet związana z główną treścią, a przynajmniej do uwydatnienia zamiarów autorki zgoła nie potrzebna.

P. Orzeszkowa w kilku już powieściach próbowała ująć i scharakteryzować prądy społeczne, nurtujące głównie wpośród młodzieży. Nie mogę szczegółowo wykazywać tu, że obserwacye autorki często były powierzchowne a zawsze niedokładne — wywody więc z nich zbyt pośpieszne; alebym pragnął zwrócić jej uwagę na etyczną stronę tej kwestyi. Czy p. Orzeszkowa może powiedzieć, że analiza jej była zupełną, że w wypowiedzeniu swych sądów nie krępuje się niczem, od jej dobrej woli niezależnem? Czy poczucie prawdy moralnej i realnej pozwala na cały szereg zjawisk rzucać cienie, bez możności oświetlenia stron dodatnich? Czy w tem gronie młodzieży oprócz Julka w czerwonej bluzie i nędznego duchowo Eugeniusza niema innych, szlachetniejszych typów? Czy wszyscy do ideałów zbiorowego szczęścia dochodzą tylko przez poczucie zawiści, krzywdy i upośledzenia, a żądza użycia jest im gwiazdą przewodnią? Że tak nie jest p. Orzeszkowa wie dobrze; bo przecież jej Adolfina krzywdy nie doznała, zawiści do nikogo czuć nie mogła. Są inne jeszcze czynniki psychologiczne, które w danym kierunku pchają młode umysły: oburzenie na widok cudzej krzywdy, ów wstyd, który się budzi w szlachetniejszych sercach, wstyd swego uprzywilejowanego stanowiska, wstyd niezasłużonej pomyślności.

One to, a nie mityczny duch czasu rzucają lepsze jednostki z wyżyn w głębie społeczne, na cierniową drogę niesłychanych poświęceń, walk z samym sobą i z przeszkodami. Nie należała do nich Adolfina, bo tego wstydu tego świętego oburzenia, które każe znienawidzieć to, co miłe było pierwej a ukochać to czem się niegdyś gardziło, które każe zerwać z przeszłością dla przyszłości—niema w niej wcale, jak niema świadomości ohydy tych wpływów, które ją otaczały. Dla niej idea spoczywała w złocistej brodzie i wymownych oczach ukochanego — wraz z nim ulotniła się i idea — z naiwnym wdziękiem ofiary Adolfina oddaje swe ciało przeżytemu szambelanowi, za którem w półcieniu ukazuje się przyszły romans z hr. Ireneuszem, członkiem stowarzyszenia pornografów.

Ale i Eugeniusz nie jest bynajmniej przedstawicielem młodzieży danego kierunku. Jako człowiek jest on prawdziwym, ale nie jako typ. W każdym obozie znajdują się zaprzańcy, znajdują się indywidua liche moralnie i umysłowo, ale nie każda studentka jest bezczelną zalotnicą (jak bohaterka *Bańki mydlanej*) i nie każdy młodzieniec radykalnych przekonań — samolubnym karyerowiczem. P. Orzeszkowa zpewnością tak nie myśli, ale przeciętny czytelnik, zapuściwszy wzrok w ciemność, żadnym błyskiem nierozjaśnioną, ma prawo tak sądzić. Owe powiewy ducha czasu, które autorka czujnem uchem chwyta, przynoszą jej zapewne nietylko brzmiące donośnie hasła nowych idej — ale i ciche głosy, które z wyrzutem szepczą: za co nas krzywdzisz!

Wiat.

LISTY PETERSBURSKIE.

16 kwietnia.

Credo p. Sołowiewa i kłopot panslawistów. — Prozellta p. Sołowiewa-Mołczanow. — Wpływ Tamberlicka na *Nowoje Wremia*. — *Niedziela* o polskiej kulturze. — Komitet gramotnosti. — Spirytyści.

Rzadki to w teraźniejszych czasach filozof, któryby roztrząsał sprawy społeczne ze stanowiska religijnego. A takim filozofem jest właśnie p. Sołowiew, młody magister filozofii, pisujący z talentem i erudycyą artykuły do *Rusi* i innych organów z panslawistycznym odcieniem. Cieszył się on do niedawna uznaniem prasy konserwatywnej, aż nagle od niedawna stał się dla niej szkodnikiem. Nagłą tę zmianę spowodował jego artykuł, umieszczony w drugim numerze *Izwiestij słowianskawo błahotworitielnawo obszczestwa*. Autor wypowiada w nim swój pogląd na patryotyzm i narodowość wogóle i na posłannictwo narodu rosyjskiego w dziejach cywilizacyi. Patryotyzm, według p. Sołowiewa, nie jest ideą, któraby była celem sama w sobie, ale siłą przyrodzoną, historyczną, którą dopiero dla wyższych celów zużytkować trzeba. Kult narodowości, jako zasada kierująca, może istnieć tylko wtedy, gdy dla swojego społeczeństwa staramy się odnaleźć rolę w wszechświatowym rozwoju, gdy pożądamy, aby ono, służyło jakiejś wyższej cywilizacyjnej idei. Taką ideę, taki cel dla każdego narodu autor widzi w dążeniu do stworzenia na ziemi „królestwa bożego,“ inaczej mówiąc — w służbie chrześcianizmowi. Potrzeba więc zużytkować dla celów religijno-społecznych ten naturalny instynkt ludzki, który nazywamy patryotyzmem. Z tej zasady autor wyprowadza ciekawe wnioski.

Naród rosyjski, według niego, doszedł do swojej obecnej państwowej i kulturalnej mocy tylko drogą poświęceń. Czyniąc ofiarę z samoistości politycznej i przyzywając legendowych waregów, stworzył potęgę państwową, a czyniąc ofiarę z samoistności cywilizacyjnej i przyjmując reformę Piotra Wielkiego, stworzył potęgę kulturalną. Zadaniem jego teraz jest sprowadzenie królestwa bożego, a więc przedewszystkiem utworzenie kościoła powszechnego, stąd wniosek, chociaż bardzo jeszcze ostrożnie przez autora wypowiedziany, iż potrzeba uczynić ofiarę z samoistności religijnej.

Naturalnie twierdzenie to wywołało obszerną polemikę ze strony rabinów panslawizmu. Szczególna jednak rzecz, że nikt nie napadał na sam punkt wyjścia autora, tj. na doktrynę o historycznych misyach narodów, lecz jedynie na wnioski. I słusznie, przecież kiedyś panslawiści dowodzili, iż naród polski powinien poświęcić swoją samoistność dla wyższej zasady, służenia sprawie wszech-słowiańskiej, wogóle więc przeciwnicy p. Sołowiewa są z nim zgodni w kwestyi narodowych poświęceń, jeżeli naturalnie nie oni mają je ponosić; czy zaś konsekwentni, tak jak on, to pytanie?

Nie powiem jednak, aby artykuł p. Sołowiewa, dowodzący konieczności stosunków z kościołem zachodnim, pozostał bez wpływu. Oto np. znany p. Mołczanow poszedł do księdza biskupa wileńskiego i zawiązał z nim stosunki. Prawda, że według poglądu p. Mołczanowa, ksiądz biskup, właściwie nie jest katolikiem, bo przecież jest synem unity, ale zawsze ostatnia epistoła w *Nowom Wremieni* inaczej jakoś mowi o katolicyzmie, który rosyjscy korespondenci zwykle utożsamiają z polonizmem.

A może to zawdzięczyć należy... Tamberlick'owi? Organ p. Suworyna obsypuje go pochwałami, w których zaznacza, że śpiew włoskiego artysty spowodował zmianę poglądów na przeszłość, przyszłość i teraźniejszość (!). Nowy więc zwrot p. Mołczanowa może jest właśnie objawem tej zmiany.

A tymczasem listy dwóch „stranników“ wywołały w prasie rosyjskiej kilka dosadnych artykułów. Zasługuje na wzmiankę artykuł p. Siemiontkowskiego, umieszczony w „narodniczeskim“ organie *Niediela* o polskiej i rosyjskiej kulturze. Według autora, zadanie pracy wewnętrznej zarówno śród polaków, jak i śród rosyan jest jednakie: podniesienie ludu do siły czynnej cywilizacyjnej i rozwinięcie własnej narodowej cywilizacyi. Podczas jednak, gdy w Rosyi dążenie to jest celem samo w sobie, w Polsce stanowi ono program społeczny, środek do innych, wyższych celów, dlatego praca ta jest prowadzoną z daleko większą konsekwencyą i wytrwałością. Jako polityczny organizm Rosya jest nieskończenie wyższą od Polski, jako społeczny przedstawia się niekorzystniej z całą masą swoich kradzieży i oszustw, z całą gmatwaniną dążeń i ideałów. Oto pogląd autora. Zdaje mi się, że p. S. przedstawia sobie w bardzo różowem świetle nasze usiłowania w kierunku rozszerzenia oświaty ludowej. Porównywując nasze tego rodzaju wydawnictwa z tutejszemi „komitieta gramotności,“ każdy przyzna bezwzględną wyższość ostatnim. Ten „komitet gramotnosti“ istnieje przy ekonomicznem towarzystwie i chociaż rozporządza nieznacznymi środkami, używa ich wzorowo i wydaje doskonałe utwory. W przeszłym roku sprzedano 50,000 egz. a bezpłatnie rozesłano 30,800.

Jako dość ciekawy objaw muszę zanotować rozwój w Petersburgu spirytyzmu. Spirytyści, licząc w gronie swojem profesorów Butlerowa i Certelewa, zaczęli urządzać nawet już swoje publiczne odczyty. Prof. Certelew szeroko mówił o tem, jak się ludziom nie śniło, że będą jeździć kolejami, a jednak jeżdżą, ergo. . spirytyzm ma przyszłość przed sobą, a zapewne doczekamy czasów, gdy nieuznawanie go będzie tem samem, co nieuznawanie... aerolitów. Powstała dyskusya, bito oklaski, nikt jednak nie powiedział, że właśnie ze spirytyzmem zachodzi wypadek zupełnie inny, jak z kolejami, bo ludziom się właśnie bardzo długo przedtem o nim śniło.

W. Ż.

LIBERUM VETO.

Świt. — Z dawnych wierzeń p. Konopnickiej. — Gdzie dnieje.—Mroki.—Prawa kobiet. Zdobywanie twierdzy.—Świt w gazetach rosyjskich. — Pytania i zagadka.--Wybuch wątroby — Obelga.—Przemowa do języka.—Trel słowika, miauczącego się Sępem.

Na widnokręgu naszej prasy *zaświtało* — dzięki p. Maryi Konopnickiej, która zapaliła dla kobiety nową pochodnię, czy też p.

Lewentalowi, który sprawił sobie czwarte pismo peryodyczne. Kto na tem przedsięwzięciu najlepiej wyjdzie: kobiety, p. Konopnicka, czy p. Lewental, dotąd, naturalnie, nie wiadomo, gdyż *Świt* błysnął dopiero cztery razy. Już dziś wszakże wydaje mi się rzeczą pewną, że niewiasty nasze zyskają i że ta nowa jasność pozostanie... *świtem*. Zarówno ten wyraz, jak i zawarte w nim pojęcie występowały często w poezyach znakomitej autorki. Na różne nuty wyśpiewywała ona dawniej radosną nowinę, że słychać:

Konającej nocy zgrzyt,
Już chorągiew rubinową
Słońce wznosi na świat stary,
Już się wschód jasnością pali,
To *świt*.

Ciągle zapewniała ona, że

W mrokach my jeszcze, lecz w górze *już dnieje*.

Kiedyś przyznaliśmy się w *Prawdzie* p. Konopnickiej, że tego wschodu, tego *świtu* wcale nie widzimy, owszem spostrzegamy niezwykłą ciemność. Poetka wszakże ręczy, że „już się wschód jasnością pali,“ że wszystkie ludy, czy też niektóre utkwiły wzrok w „rubinową chorągiew.“ Tę wiarę przelewa w swój organ, który odpowiednio też zatytułowała. W tej chwili może nas tylko zajmować pytanie: czy dla kobiet, a zwłaszcza dla naszych „już dnieje w górze?“ Czy one „budzą się?“ Ponieważ postęp, chociaż ociężały, trwa ciągle, w tym postępie wszyscy coraz bardziej „budzą się“ a promienie jaśniejszej przyszłości wytryskają, pod pewnym przeto względem p. Konopnicka ma słuszność. Ale błądzi, jeżeli obecną porę uważa za chwilę wschodu jakiejś jutrzenki—bodajby tylko dla kobiet. Są one (z małemi zmianami) i na długo jeszcze pozostaną tem, czem były wczoraj, onegdaj, rok, dwa, trzy, pięć lat temu. Właściwie mówiąc, w jakim kierunku mają się posunąć? Jest tylko nauka, ta może główna, głębokimi rowami i wysokimi nasypami otoczona twierdza, której strzegą armaty przesądów i której skutkiem tego kobiety zdobyć nie mogą. Otóż jeżeli p. Konopnicka daje swemu hufcowi hasło do ataku na tę fortecę, jeżeli w tej nadziei choćby cząstkowego zwycięstwa błyszczy dla niej *świt*, nie przesądzając skutków wyprawy, sympatyzujemy zupełnie z jej celem. Niech więc „piękne“ (zawsze piękne!) oczki przecierają się, niech rozpraszają senne widziadła, niech patrzą jasno i widzą dokładnie. Czy może do zbyt wysokiego tonu nastrojona zapowiedź przeraziła kilka pism naszych obawą, że *Świt* rozedrze obsłonki naiwności, w których ku wielkiej wygodzie obrońców tradycyi drzemie i zmysłami jedynie żyje dusza niewieścia? Prawdopodobnie, a jakkolwiek pani Konopnicka burzycielką bynajmniej nie jest, zdaje mi się, że będzie ona musiała nieraz stawać przed sądem prawomyślności, oskarżona o... bezbożność, lub coś w tym rodzaju, bo... bo ma jakieś gorętsze pragnienia. Zresztą nie ustrzeże się ona z pewnością szczerego słówka, które wydęte oburzeniem urośnie do olbrzymich rozmiarów i niby balon wzleci nad naszą prasą. Ot np. w nrze 4 *Świtu* czytam taki ustęp: „Polityka pokoju nie jest polityką abdykacyi—powiedział świeżo p. Raynal na uroczystości Gambetty w Montauban. Jest to zdanie, którem *radzilibyśmy* rządzić się nawet ks. biskupowi Ledóchowskiemu, zrzekającemu się, jakoby, gnieźnieńsko-poznańskiej stolicy, *gdyby możliwem było przypuszczenie*, że ojcowie kościoła do ręki *Świt* biorą.“ „Radzilibyśmy“ — „gdyby możliwem było przypuszczenie“ — są to wyrazy na pozór niewinne i grzeczne. Ale jeśli zważymy, do kogo one są zwrócone — do arcybiskupa Ledóchowskiego i ojców kościoła—zuchwałość przedstawi nam się w całej grozie. Bo proszę tylko rozważyć: „radzilibyśmy ks. biskupowi Ledóchowskiemu...“ Ja sam stary weteran „wolnomularstwa“ (tak mnie nazwano), gdybym napisał te wyrazy, uczułbym wszystkie dreszcze, jakie prądem elektrycznym przebiegną po ciałach, na które duch św. łaski swoje zsyła. Jeżeli p. Konopnickiej tego grzechu nie policzono, to tylko dlatego, że numer, który go obnażył, wyszedł dopiero przed kilku dniami. Czekajmy! Doprawdy, chwila bardzo tragiczna!

Świta — mówi poetka. Gdzie? A no chyba w *Now. Wremieni*, *Kijewlaninie*. Oglądając te blaski, biję się ustawicznie z niepewnością: czy to są ognie naturalne, czy sztuczne? Bo zwykle czegoś podobnego ani człowiek nie widział przedtem, ani spodziewa się ujrzeć potem. Jeżeli ktoś mówi do mnie: ja jestem człowiek rozumny, słuchaj: Kain był najczulszym filantropem, a Arystoteles ogłupił Grecyę, skutkiem czego na Kaukazie w r. 1883 nie obrodziły się arbuzy — jeżeli, powtarzam, ktoś tak do mnie przemawia, zapewniając o swoim rozumie, to nie wiem, czy bredzący filozof ma w rozsypce klepki swej głowy, czy też udaje obłąkanego sztucznie dla jakiejś rachuby. Rozmaici korespondenci kilku gazet petersburskich stawiają przed nami codzień niemal to pytanie. Chciałbym się istotnie raz dowiedzieć, czy ci panowie piszą swoje wywody na seryo, czy też z nami lub ze swoimi czytelnikami się bawią? Czemu wątpię o ich szczerości? Jakkolwiek znane mi są bardzo niskie stopnie, do których rozum ludzki spaść może, podobnie niskich nawet w prasie nie widziałem. Więc przypuszczam, że to jakaś symulacya, że to coś... co tworzy zagadkę.

Z innego względu jest dla mnie zagadką redaktor *Biesiady literackiej*. Mąż ten, posiadający wielkie serce i wielką wątrobę, od nadmiernej czułości lub żółci dostaje ataków polemicznych, w których nie zawsze umie się powstrzymać od obelgi, lub chorobliwego majaczenia. Za kilka moich uwag o jego piśmie wystawia on po trzech tygodniach na mnie taki weksel. „Poseł Prawdy — to krytyk niedomagający (?), któremu *wszystko* (!) zawadza. Chorobę jego nie każdy jednak uwzględnia; znaleźli się tacy, *co go do muru przyparli*, co go *nadeptali* „ostatniem“ słowem i w końcu zmusili do milczenia. Myśmy fatałaszki kładli na wielki dzwon, ale co wieszał ów krytyk w fejletonach tygodniowych, *pisząc o gabinetach restauracyjnych*.“ Pomijam „gabinety restauracyjne,“ z których zalatuje mnie woń szczerego zamiaru plugawienia za wielką cenę i o których nigdy nie pisałem; ale pytam p. redaktora *Biesiady*, kto to mnie „przyparł do muru,“ „nadeptał „ostatniem“ słowem“ i „zmusił do milczenia?“ Jeżeli to nie stylistyczne figury rozwymyślanego języka, usłyszę zapewne nazwiska i fakty. Oprócz bowiem siły, która jednako dla wszystkich zakreśla granice dla publicznego słowa, nie przypominam sobie, ażeby mnie jacyś „tacy“ zmusili do milczenia. Ustępowałem nieraz z drogi albo wielkiej głupocie, albo wielkiej niegodziwości, czyniłem to jednak dobrowolnie, bez żadnego przymusu zewnętrznego. Tymczasem p. redaktor *Biesiady* zna wypadek takiego przymusu, a zatem *mein Ritter, heraus mit der Zunge*, bez otulania się po jezuicku w płaszcz wymówki: „na harce podobne w naszem piśmie niema miejsca.“ Kto rzuca obelżywe półsłówka, powinien znaleść miejsce na wypowiedzenie całego słowa, a papier *Biesiady*, raz opryskany błotem obelgi nie potrzebuje już strzedz swej dziewiczej szaty. Niechże się jej czytelnicy uraczą moim kosztem—płacę, a im pewnie uczta smakować będzie, kiedy zjedli pierwszą przyprawkę z polemiczną asafetydą.

Wy zaś, moi czytelnicy, zapamiętajcie sobie ów czuły trel idealnego słowika, który rodzinom wyśpiewuje takie rzewne, serdeczne i czyste melodye. Tak polemizuje ptaszek, który ciągle kąpie się w kryształowych wodach sentymentalizmu i starannie strzepuje ze swych piórek ziemskie pyły. Tylko dla dobrodusznej ironii nazywa się *Sępem!*

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Era szlachecka. — Regulacya służebności. — Cukrownia w Opolu. — Ksiądz protestantem. — Cud. — Drakońskie wyroki. — Wystawa w Szawlach. — Wyprzedaż. — Zastój i bieda.

Peryodycznie, co dwa lata powtarza się na czas jakiś „era szlachecka;“ w maju bowiem odbywają się wybory do Towarzystwa kredytowego. Warszawscy mentorowie i opiekunowie stanu ziemiańskiego wystąpili już z całym stosem uwag i projektów, stale co dwa lata podsuwanych obradującym, którzy atoli nietylko odrzucają również stale te wypracowania, ale zwykle nie czytają ich nawet wcale. Być może, że obrażona duma autorska skłoniła niektórych redaktorów do wystąpienia z całą litanią upomnień i przestróg, udzielonych, co prawda, z ojcowską pobłażliwością. Ponieważ przyjemność rzucania grochu o ścianę nie uśmiecha się nam bynajmniej, a schlebianie komukolwiek nie należy do podstaw, na których opieramy powodzenie wydawnictwa, głównie zaś ponieważ z tej szlacheckiej mąki nie spodziewamy się wcale wypieku chleba, któryby nasycić mógł rzesze — przechodzimy nad nią do porządku... tygodniowego. Zaznaczamy tylko, że gromadzeni na obrady ziemianie, „w przyzwoitem ubraniu odpowiedniem ich stanowisku“ (tak głosi reskrypt Dyrekcyi głównej) oprócz łaski ducha świętego, która oświecić ich powinna przy wyborze nowych radców, otrzymują jeszcze „dobrą wieść,“ której głosicielem jak na teraz jest *Nowoje Wremia*. Pismo to zajęło się kwestyą służebności i niestrudzony „rosyjski wędrowiec“ pragnie sprawę służebnościową rozstrzygnąć jednym zamachem pióra i radzi jaknajprędzej jej uregulowanie, jako korzystne dla obu stron interesowanych. Polubowne ugody, zdaniem jego, utrwalić mogą tylko niepożądany wpływ panów na chłopów i przyczynić się do zbliżenia chaty z dworem; dla usunięcia tego trzeba ostatecznie rozciąć węzeł drogą prawodawczą. W rezultacie więc przenikliwy turysta schodzi się z patentowanymi obrońcami większej własności, chociaż punkty wyjścia są zgoła inne. Mający uszy — niech słyszą, a mający rozum... ale ba! takich niewielu chyba dałoby się odnaleźć.

Nawet pomimo starań władz Towarzystwa kredytowego, które czuły się w obowiązku przepisać strój stowarzyszonym, niezaradność szlachecka stwierdzoną już została niejednokrotnie. Właściwie jest to nasza ogólna wada narodowa, tylko posunięta do wyższego stopnia. W co obróciły się projekty spółek rolniczych, stowarzyszeń wzajemnych, cukrowni ziemiańskich itp.? Albo nie przyszły zgoła do skutku, albo pochłonęły masę drobnych dobrych chęci i kapitału i przerobiły ich na marne. Zwykła to kolej naszych zbiorowych przedsięwzięć: najprzód wspaniałe projekty, potem nieudolne ich wykonanie, wreszcie nad ruiną złudzeń żałosne treny z przyśpiewką w narodowym duchu—kiedy bieda, to do żyda. Nie uniknie zapewne tego fatalnego losu i cukrownia w Opolu, która oprócz innych wzniosłych celów wyrabiać miała cukier starannie oczyszczony od wszelkich semickich domieszek. W myśl genialnej teoryi pewnego pana, który na pierwsze danie zaleca pożarcie żydów, pozostawiając niemców na później, stowarzyszeni odsunęli od współudziału izraelitów, ale na dyrektora wybrali — niemca. Sprowadzone

przezeń maszyny okazały się niezdatnemi do fabrykacyi cukru, który przedstawił jakąś masę przezroczystą, przypominającą smakiem i zapachem t. z. cukier lodowaty. Ale nie na tem koniec. Pewnego pięknego poranku przybył do Opola fabrykant z Berlina i położył sekwestr, dopominając się należnych mu za maszyny 160,000 rs. Po bliższem zbadaniu sprawy okazało się, iż dyrektor nadużył zaufania akcyonaryuszów i dane mu pieniądze przywłaszczył sobie. Pp. stowarzyszeni nie zadali sobie nawet pracy sprawdzić w ciągu lat kilku, na co szły ich pieniądze, ile kosztują maszyny itd. To już chyba nie łatwowierność, ale karygodne niedbalstwo.

A może to tylko nowa forma marnotrawstwa, zgodnie z duchem czasu przejawiająca się w operacyach przemysłowych! Byłoby to dosyć oryginalne, bardziej np. niż postępek owego obywatela podolskiego, który zamieszkawszy w Nicei, sprowadza z własnego majątku owies dla swych koni, twierdząc, że kiedy on nie może przyzwyczaić się do miejscowej kuchni, więc pewnie i koniom jego nie smakuje francuski obrok. Nie nowy to pomysł podolskiego bogacza; uprzedził go już dawno pewien wołyński panek, który wyemigrowawszy w 1831 r. do Francyi, kupił tam majątek i oprócz innych produktów rodzinnej gleby sprowadził sobie nawet żydka faktora i pachciarza.

Pobożni mieszkańcy Kowna, stolicy świętobliwej Żmudzi, zgorszeni są niezmiernie postępkiem pewnego księdza, który, jak donosi korespondent *Gazety polskiej*, przyjął protestantyzm i ożenił się. Ksiądz ten wysoko wykształcony prowadził bardzo przykładne życie i sumiennie spełniał swe obowiązki; podniesiony więc przezeń protest przeciw przymusowemu celibatowi nabiera tem większej wagi. Bądź co bądź, nawet ze stanowiska interesów religijnych postąpił właściwiej, aniżeli kolega jego z Pragi, który prowadził rozwiązłe życie aż wreszcie zelżony został w kościele przez uwiedzioną i porzuconą potem kobietę. Wiadomość tę podaje jeden z brukowych dzienników Warszawy.

Z kolei pomówmy o cudach. Do doktora W. w Raciążu przybyła niejaka Kozłowska, kobieta czterdziestoletnia, zajmująca się nauczaniem dzieci wiejskich. Oświadczyła ona, że od trzech lat spodziewa się zostać matką (wszelkie objawy za przypuszczeniem tem pozornie przemawiały), dotąd jednak dziecka nie powiła. Znachorki wiejskie zapewniały ją, że urodzi — mesyasza. Chorą otoczono aureolą świętości, obwieszono różańcami i oprowadzano po miejscach cudownych. Akuszerki i felczerzy wciąż stwierdzali ciążę a kanonik miejscowy, do którego udała się po poradę, uznał ją za będącą w „stanie niełaski.“ Dopiero inny ksiądz, mniej biegły w subtelnościach teologicznych, poradził chorej, żeby udała się do lekarza. Dr. W., po zbadaniu szczegółowem, przyszedł do przekonania, że jest to tak zwana „ciąża urojona“ i zaproponował Kozłowskiej podróż do Warszawy, chcąc ten ciekawy przypadek przedstawić powagom lekarskim. Pacyentka zgodziła się na to i zamieszkała u lekarza; pewnego jednak dnia wyszła do kościoła i nie wróciła więcej. Poszukiwania jej nie doprowadziły do żadnego rezultatu; dr. W. twierdzi, że prawdopodobnie włościanie ukrywają ją z obawy, żeby „doktór nie zniszczył cudu.“ Fakt ten opisuje *Gazeta lekarska*.

Pisma nasze, strofujące przysięgłych za zbytnią łagodność wyroków i w zapale wsuwające nieraz nawet ostrzegający palec między cudze drzwi, mogą się teraz pocieszyć. Okazuje się bowiem, że tendencye wykrętnego liberalizmu nie mogą wzruszyć wiekowych ustojów naszych pojęć moralnych. Sędziowie przysięgli w Szawlach zainaugurowali swą działalność taką iście drakonowską bezwzględnością wyroków, że oburzyli nawet na siebie opinię publiczną. Kobietę, oskarżoną o otrucie męża — pomijając już brak danych dowodzących winy—zasługującą na uwzględnienie okoliczności łagodzących przestępstwo, skazali na 12 lat ciężkich robót a młodego parobka za kradzież jabłek z oparkanionego ogrodu na półtora roku więzienia z pozbawieniem praw.

Kto wie zresztą, czy ta niezwykła surowość była głosem wewnętrznego przekonania, czy też może wynikiem złego humoru. A do tego mieszkańcy Szawel i okolicy mieli pewne powody. Wystawa rolnicza, corocznie odbywająca się w tem mieście, nie przyjdzie do skutku. Pomimo starań marszałka szlachty hr. Zubowa odnośna władza odmówiła zatwierdzenia projektu. Podobno, jak mniema *Gazeta polska*, na odpowiedź odmowną wpłynęła opinia jednego z dygnitarzy miejscowych, odznaczającego się niezbyt przychylnem usposobieniem względem rozwoju samodzielnych wystaw krajowych.“ Może więc wobec napadów p. Katkowa na instytucyę przysięgłych naiwni żmudzini chcieli tym niefortunnym sposobem ujawnić swoją lojalność? Niezbadane są bowiem pobudki czynów ludzkich.

Prawdopodobnie również, żeby zadowolić p. Mołczanowa, ubolewającego na tem, że obywatele litewscy pomimo wszelkich przejść trzymają się ziemi i gospodarują dobrze, ziemianie mińscy postanowili zrehabilitować się w oczach *Nowego Wremieni*. Ks. Wittgenstein sprzedaje olbrzymie swoje lasy, zajmujące kilkadziesiąt mil kwadratowych przestrzeni, za bezcen, bo po 50 kopiejek za drzewo sosnowe na wybór; drugi obywatel oddaje 15 włók lasu za 7,000 rs. a nabywcy ten sam las po upływie dwóch tygodni odprzedają za 15,700 rs.; trzeci sprzedaje 20 dzięcin lasu za 600 rs. kiedy wartość jego wynosi przynajmniej trzy razy tyle; wreszcie hr. Potocki sprzedaje dobra bereżyńskie, liczące 6,500 włók przestrzeni, niemcom za 1,000,000 rs. Podobnych wypadków naliczyćby można więcej jeszcze.

Zastój w handlu i przemyśle daje się we znaki mieszkańcom osad fabrycznych. W Zduńskiej Woli np. około 1,200 warsztatów tkackich stoi bezczynnie. W osadzie tej niema większych fabryk, a tylko przedsiębiorcy oddają majstrom czyli tak zwanym webrom materyały do domu. Tkacze pracują na własnych warsztatach i zapłatę dostają od łokcia lub sztuki. W najlepszym czasie średnia płaca nie przenosi 6 rs. tygodniowo, dziś zaś ten robotnik uważać się może za szczęśliwego, jeśli za tę samą pracę dostanie rubla a najwyżej dwa tygodniowo. Ci są szczęśliwi — ale połowa niema wcale zajęcia. Szczegóły te podaje *Kaliszanin*; lecz malując obrazy nędzy, dodaje, że robotnicy są w części sami winni swej biedzie, ponieważ tkactwo jest bardzo korzystnem rzemiosłem, pozwalającem robić oszczędności na czarną godzinę. Oszczędności z 5 — 6 rublowej płacy na tydzień! Ciekawa rzecz, jakim sposobem; boć przecie najuboższy wyrobnik potrzebuje jeść, mieszkać i ubierać się, wystarczy to dla niego zaledwie — a jeżeli ma rodzinę i do tego tak liczną, jak ów szczęśliwiec w Łodzi posiadający już sześcioro dzieci, którego żona obdarowała obecnie trojaczkami. Wypadek ten miejscowe pismo nazywa „prawdziwem błogosławieństwem bożem.“ Nędza w osadach i miasteczkach fabrycznych jest okropną, ale wieści o niej dochodzą nas tylko urywkami, bo pisma warszawskie, mające korespondentów aż w Sudanie, nie mogą zdobyć się na wysłanie jednego bodaj reportera do Pabianic lub Łodzi.

W okolicach Łęczycy zmarła kolonistka niemka, licząca 106 lat wieku. Staruszka ta była prawdziwą bohaterką, bo od 1808 roku przebywała na polskiej ziemi, jadła polski chleb i oddychała polskiem powietrzem, co widocznie służyło jej dobrze kiedy dożyła tak późnego wieku i nie umiała ani słowa po polsku. Podobnież wychowała swoje potomstwo, które, oprócz niemieckiego, żadnego innego języka nie zna.

N.

Kijów. Czytając monologi, jakie wygłaszają dotychczas jeszcze w sprawie Swirydowa z jednej strony patres conscripti z *Kijewlanina*, a z drugiej sofiści z *Zari*, zdawałoby się, że ta próżniaczka, wałęsająca się jak przedajna kurtyzanka z obozu do obozu, a nazywana głośno — opinją publiczną — nareszcie ustatkowała się. Niestety, nie! W tej lichej, łatanej naszej prasie walczą osoby, grupy, interesa prywatne tylko pod sztandarem sprawy publicznej. Nekliudow potępił i skasował wyrok sądu przysięgłych — i *oni* ganią, bo zębami żelaza nie przegryziesz, ale w całej tej sprawie chodzi przecież o coś więcej, niż o literę ustawy—o prawa moralne, o sumienie ludzkie. Oj to sumienie! Nadaremnie Szczedryn w swojej satyrze *Propała sowiest'* każe mu się tułać bez dachu i współczucia przez wszystkie stopnie nędzy moralnej od „Kabatczyka“ aż do żyda Brzoskiego. Tuła się ono teraz tak samo od gazety do gazety; do której zawita — budzi się w niej instynkt człowieczy, przemówi głośniej i uczciwiej, ale wnet tego gościa wysyła gdzieindziej — i wraca do dawnego koryta. Niedawno *Zaria* porównywała Swirydowa — zgadnij biedny człowieku, który się nazywasz czytelnikiem do kogo? — do Otella! Ten smutny, rozbity, zbladły starzec, który się już żadnej kozy nie lęka, bo największą sam w sobie nosi, ten starzec, nad którym się lituje każdo serce ludzkie nie kradł cudzych pieniędzy, nie był hipokrytą, składającym cząsteczkę malutką ze skradzionych Bogu na kadzidła i świeczki... Gdyby stary Sokrates mógł teraz zapytać: co jest sprawiedliwość? ciekawą byłaby odpowiedź, bo już określenie Trazymacha: „to co mocniejszemu przystoi“ — niebyłoby zadowalniającem.

Od tych niewesołych myśli i widoków przejdźmy do więcej pocieszającego objawu — myślę tutaj o projekcie „kijowskiego Towarzystwa samopomocy.“ Stara to prawda, że trzeba pomagać sobie. Celem tego stowarzyszenia, którego statuty właśnie mamy przed sobą, jest: „ułatwić ludziom pracy ciężką walkę o życie, przez ułatwianie członkom wyszukiwania zarobku, udzielanie doraźnej pomocy i według możności wyszukiwanie środków tańszego życia. Drogą do tego celu ma służyć pomoc a niekiedy żywienie swoim kosztem członków, potrzebujących zarobku, do chwili wyszukania zajęcia, udzielanie pomocy chorym, opłata wpisowego za dzieci, kupno potrzebnych książek dla nich itp. Stowarzyszenie chce otworzyć kantor stręczeń, magazyny, restauracye tanie, zakładać biblioteki, kasę pożyczkowo-wkładową, a nawet tworzyć i utrzymywać nowe szkoły. Z kilku tych rysów widać, że ma ono *nadto* szerokie cele, a przytem jeżeli prywatne stowarzyszenia będą działać w kierunku państwowo-administracyjnym, to cóż w takim razie pozostaje... innym? Pomagać sobie trzeba, ale nie *obiecywać pomagać*, bo chęci nie dosyć, trzeba środków. Środki te mają się zebrać z wkładów 6 rublowych rocznie od każdego członka. Widać tedy, że stowarzyszenie niema na celu ubogiej a pracującej ludności, bo pewnie $^9/_{10}$ z niej pobiera pensyi 30—40 rubli rocznie, więc każdy musiałby złożyć $^1/_5$ lub $^1/_6$ część, tymczasem licząc, że przeciętna pensya członków z *górnej warstwy* a należących do „Samopomocy“ wynosi tylko 600 rubli, wtedy każdy składa $^1/_{100}$ — co uczynić może z łatwością.

Nie w tem jednakże sęk. Co członek za to otrzyma — oprócz nadziei? Najprzód pożyczkę, po trzechmiesięcznym terminie od chwili wpisu, a po 25 latach pensyę dożywotnią, której wysokość reguluje walne zgromadzenie. W tej właśnie dowolności polega cała zła strona. Najprzód 25 lat jest to przeciąg czasu nadto długi, bo można stać się przecie niezdatnym do pracy i po 10 latach od chwili przystąpienia do stowarzyszenia i wtedy pozostaje się *na łasce*. Tej właśnie dra-

żliwej — łaski — każdy najwięcej wystrzega się w życiu, każdy potrzebuje nie *łaski*, ale *pewności*, że tyle a tyle będzie miał prawo otrzymać; pewność powinna stanowić podstawę, a dobra wola zgromadzenia będzie mogła w każdym razie nagrodzić wyżej zniedołężniałego pracownika.

Mojem zdaniem — ponieważ jest to dotąd projekt podany do dyskusyi — należałoby cokolwiek zwęzić, a natomiast wprowadzić więcej jasności co do rubryki "pensya" wogóle. Może byłoby dobrze naznaczyć wkład pięć razy większy np. ale z prośbą możności składania choćby $^1/_5$ części, nieograniczając przytem nikogo co do czasu złożenia składu. Ludzie pracy nie często widują się z gotówką i nie zawsze posiadają jej dostatecznie; być może, iż ktoś mógłby złożyć od razu cały wkład 30 rs., a ktoś pięćdziesiąt kop. Wysokość pensyi emerytalnej może byłoby dobrze regulować do wysokości wkładów, w takim razie każdy obliczałby się według swojej kieszeni i potrzeb stosownie do tego jaką by pragnął zabezpieczyć sobie pensyę na przyszłość.

Fr. R.

Nowogródek. W jednym z miasteczek od pewnego czasu co noc prawie zdarzały się kradzieże. Okazało się, że spełniali je więźniowie do spółki ze strażą policyjną. Wreszcie pod podłogą znaleziono cały skład skradzionych towarów. (*Kur. Warsz.*).

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 23 kwietnia.

Sezon mów. — Zachwiane stanowisko gabinetu angielskiego. — Konferencya w sprawie egipskiej. — Mowy Ferry'ego i rewizya senatu. — Sprawy bułgarskie. — Samowola policyjna w Galicyi. — Zjazd trzech cesarzów.

Ministrowie francuscy i angielscy, a również i wybitniejsi działacze polityczni odbywają, korzystając z feryj parlamentarnych, wycieczki po kraju, przyczem wygłaszają mowy, mające na celu zjednanie nowych zwolenników lub zdanie sprawy z dotychczasowej swej działalności. Szczególnie w Anglii meetingi, bankiety i mowy sypią się jak z rękawa. Wszyscy politycy brytańscy z wyjątkiem Parnella, przemawiającego do swych wyborców w Irlandyi o coraz lepszych widokach narodowej sprawy, za temat swych wystąpień obrali kwestyę egipską. Członkowie gabinetu, żeby się usprawiedliwić, przeciwnicy jego, żeby złamać większość rządową i ująć ster władzy. Rząd broni się energicznie, bo czuje słabość swego stanowiska w kwestyi sudańskiej. Rzeczywiście przychodzą stamtąd coraz gorsze nowiny; nawet Gordon piorunuje na gabinet i skarży się, że go wydano na ofiarę. W Egipcie poczyniono starania ku przyspieszeniu odsieczy, ale trudności finansowe i słaba liczba wojsk czynią wątpliwem powodzenie tego przedsięwzięcia. Zresztą ludność kraju nieprzyjaźnie usposobioną jest względem anglików i w Kairze wykryto nawet ślady sprzysiężenia, którego celem miało być powstanie. Współudział wojsk angielskich wywołaćby mógł znowu dyplomatyczne zawikłania i pociągnąć za sobą zajęcie Egiptu, czego Gladstone bynajmniej sobie nie życzy. Uregulowanie stosunku Anglii do Egiptu wchodzi już na drogę międzynarodowych rokowań. W Londynie zwołaną będzie konferencya ambasadorów, na którą rozesłano już zaproszenia. Pobudkę do tego dały, Francya i Włochy a za pretekst posłużyła im sprawa indemnizacyi rodzin europejskich, które ucierpiały podczas buntu Arabiego-paszy. Ostatnie telegramy donoszą, że gabinet poniósł porażkę w sprawie przewozu bydła do portów W. Brytanii. Postanowienie, jakie on powźmie, wiadomem będzie dopiero w piątek. Zdaje się jednak, że sprawa nie jest zbyt ważną i głosowanie nad nią wpływu decydującego mieć nie może.

Ferry objeżdża również Francyę i wygłasza mowy pięknie wypowiedziane, ale bez większego znaczenia. Z powodzi ogólników o republikańskiej jedności, o honorze i interesach Francyi na lądzie i morzu wyłowić się tylko daje jedna wiadomość, mająca jaką taką wagę — przyrzeczenie rewizyi konstytucyi. Rewizya ta ma być częściową i w znacznej części dotknie senatu. Zgodnie z angielską tradycyą parlamentarną Izba wyższa pozbawioną zostanie kompetencyi w sprawach budżetowych, oprócz tego mają być zniesieni senatorowie dożywotni a wyborów dopełniać będą rady municypalne. W Tonkinie francuzi posuwają się naprzód, układy pokojowe z Chinami uledz muszą zwłoce, ponieważ w Pekinie wybuchła rewolucya pałacowa; członkowie rady najwyższej zostali usunięci z urzędów a generałowie i oficerowie, walczący przeciw francuzom, oddani pod sąd za tchórzostwo i nieudolność.

W Bulgaryi i Rumelii wzrasta agitacya panbulgarska i jako kandydat na miejsce Aleka-paszy występuje książe Aleksander; taka unia byłaby pierwszym krokiem do zupełnego zjednoczenia. Ciekawem jest stanowisko Rosyi w tej sprawie. *Journal de St. Petersb.* oświadcza, że rząd rosyjski dlatego nie może popierać ponownego wyboru Aleka-paszy, ponieważ tenże nie przeciwdziałał dążeniom do zjednoczenia. Wobec tego trudno przypuszczać, żeby plany patryotów bułgarskich miały dziś jakiekolwiek widoki urzeczywistnienia.

W Galicyi wydano rozkaz rewizyi dowodów legitymacyjnych wszystkich obcokrajowców. Ci, którzy nie mają legalnych paszportów, zostaną wydaleni. Postanowienie to dotyczy głównie młodzieży, ale dać się może we znaki i innym wychodźcom, ponieważ otwiera szerokie pole dla samowoli policyjnej.

Kraków. Przed otwartem oknem w gmachu dyrekcyi policyjnej, przy którem siedział komisarz Jüttner czeladnik bronzowniczy Malankiewicz (17-letni chłopiec) rodem z Warszawy rzucił bombę dynamitową. W skutek wybuchu wyleciały wszystkie okna i sprawca zamachu został pokaleczony. Wyznał on, że zabić chciał Jüttnera (według innych doniesień Kostrzewskiego) przez zemstę za ujęcie Piechockiego, który został skazany sądownie za agitacyę socyalistyczną.

CUDZE GŁOSY.

Rozmowa. Nieustraszony p. Mołczanow nie zawahał się zajrzeć w oczy „polskiej intrydze“ we własnem jej legowisku i odwiedził ks. Hryniewieckiego, z którym rozmowę podaje w 2910 nrze *Now. Wremieni.* Po bliższem zapoznaniu przedstawiciel „intrygi“ okazał się wcale nie tak strasznym, jak się p. Mołczanowowi zdawało. Korespondent zaczyna od genealogii:

„P. Hryniewiecki po kądzieli pochodzi ze skromnej, demokratycznej rodziny Gogolewskich, która nigdy nie była katolicką, należała z początku do unii, a następnie przyjęła prawosławie. Tym sposobem nowy biskup nie jest nam obcym z krwi, a dla znających ustawy nawet wcale nie jest katolikiem, na mocy bowiem prawa z r. 1835. dzieci unitów należy uważać za prawosławnych. Tacy też są wszyscy krewni biskupa po matce—księża prawosławni, dyakoni itd.“

Zapoznanie nastąpiło łatwo i p. Mołczanow opisuje je w ten sposób.

„Spędziłem u jego ekscelencyi cały wieczór na przyjemnej i interesującej rozmowie. Przyzwyczajony do zwykłych, niezbyt sympatycznych form duchowieństwa rzymsko-katolickiego, z którego wieloma przedstawicielami spotykałem się często zagranicą, szedłem do jego ekscelencyi z niezbyt przyjemnem uczuciem. Lecz na szczęście, omyliłem się—w nowym biskupie nie zauważyłem ani cienia nawet tej nieprzyjemnej nienaturalności, zwykłego jezuityzmu w rozmowie lub udanej powagi. Przeciwnie, jego ekscelencya czyni wrażenie człowieka bardzo szczerego, żywego, czysto po słowiańsku jednocześnie i śmiejącego się i płaczącego nad swojem smutnem a czasem aż do komizmu przykrem położeniem. Przyjąwszy mię dobrodusznie i po prostu, wyraził przyjemność spotkania człowieka, mogącego bezstronnie wysłuchać prawdy o położeniu biskupa rzymsko-katol. w tym kraju i zaraz zaczął mi sam opowiadać, nie czekając na pytania.“

Opowiadanie biskupa jest bardzo ciekawe.

„Zastałem moje duchowieństwo w strasznem położeniu—wszak to już dwadzieścia lat nie było tutaj prawnego naczelnego rządcy kościoła... Księża się pożenili, rozdawnictwo parafij prowadziło się prawie przez licytacyę... Dasz więcej—to wypędzą już nominowanego—okropność! Widziałeś pan kamienice wybudowane tutaj przez Żylińskiego? Spytaj pan, kogo zechcesz, skąd one powstały—wszyscy potwierdzą moje słowa. Kiedy tak rządzili starsi—młodszy kler, naturalnie, wyzyskiwał lud... Młody jestem, chciałem wszystko to zmienić; o żadnej propagandzie nie myślałem, słowo honoru, nie myślałem, chciałem sprawę czysto kościelną postawić na stopie odpowiedniej... Zaczęto zaraz wołać — on gotuje powstanie! Co za głupstwo! Ani jeden rozsądny człowiek nie myśli teraz o podobnej niedorzeczności. Dowiaduję się np., że ten lub ów skompromitował się do *nec plus ultra*, nie można go zostawić, koniecznie należy go przenieść do innej parafii dla uniknięcia zgorszenia. O usunięciu nawet za ciężki grzech ani marzyć nieśmiem—zupełny brak księży, dziesiątki kościołów bez nich stoją. Piszę więc do kancelaryi gen.-gubernatora, że chcę jakiegoś księdza tranzlokować z tego miejsca na inne. Według prawa, nie mogę sam działać bez zezwolenia gen.-gubernatora. Kancelarya zapytuje gubernatora, gubernator sprawnika, sprawnik stanowego, stanowy posyła uriadnika. Ksiądz nie ma ochoty zmieniać miejsca, daje uriadnikowi 5 rs. i w tym samym porządku do gen.-gubernatora dochodzi opinia, że ksiądz ten jest człowiekiem wzorowym, gorąco oddanym rządowi i że zapewne dlatego chcę mu okazać swoją niełaskę. Gen.-gubernator, naturalnie, zawiadamia mię, że się ze mną nie zgadza i że nie znajduje słusznych powodów do zamierzonej przezemnie tranzlokacyi! Co ja mam robić, proszę pana? Szczegółowo potem motywuję moje żądanie, piszę np., że ksiądz ten żyje z taką a taką kobietą, a mnie odpowiadają, że to jego cioteczna siostra, Słowo honoru, i smutno i śmiech bierze!“

Pomijamy zdanie biskupa o wprowadzeniu języka rosyjskiego do nabożeństwa, co uważa on za niemożliwe głównie ze względów kanonicznych, i wymowny obraz trudności, jakich doświadczają księża, nie mogąc dzieci uczyć po rosyjsku, a nie mając prawa uczyć w innym języku; zaznaczymy tylko, że p. Mołczanow wypiwszy kilka kieliszków „Lacrima Christi“ i wypaliwszy kilka papierosów, pożegnał biskupa przyjaźnie i wyniósł w duszy sympatyę dla niego, ale nie dla katolicyzmu i polskiej sprawy. Pod tym względem mąż ten jest nieprzejednanym i takie drobnostki, jak butelka wina i kilka papierosów, zmienić zdania jego nie mogą; potrzebaby na to bardziej przekonywających dowodów.

Spóźniony żal. *Now. Wremia* przytacza ciekawe wyjątki z artykułu, zamieszczonego w dzienniku *Izwiestia petersburskawo sławianskawo błahotworitielnawo obszczestwa* będących organem słowianowilstwa i dodaje od siebie:

„Rozwijając się pod egidą Austryi, słowianie, zauważa autor, nie poddadzą się niesympatycznym

dla nich urzędowym formom życia rosyjskiego. W oczach naszych zachodnich braci, Rosya przedstawia państwo z oryginalnemi formami życia politycznego, z któremi trudno połączyć pojęcia, wyrosłe na gruncie europejskim. Ale czyż Rosya, mówi autor, nie podlega prawom historycznego rozwoju i powinna na wieki wieków," podobnie jak Chiny, zastygnąć i nie ruszając się, skamienieć? Rosya — to mocarstwo europejskie, powiedziała wielka Katarzyna, a ona, naturalnie, wiedziała, co mówiła. W dziejach bywa ruch przyspieszony i zwolniony. Jak pod śnieżnem pokryciem zimy dojrzewają przyszłe urodzaje, tak i w chwili najokrutniejszej reakcyi niewidocznie rodzą się ziarna przyszłego postępowego ruchu. Przytoczyliśmy treść artykułu *Panslawisty* prawie samemi słowami autora. Oczywiście, że „panslawistą“ nazywa on siebie niedaremnie: jest on głęboko przekonany o mającem nastąpić zjednoczeniu słowian; ale kiedy nastąpi to oczekiwane zjednoczenie, to sprawa dalekiej przyszłości. Ażeby się ono spełniło podług podanego przezeń programu, wiele rzeczy musiałoby zmienić swą postać. Oczekiwany przez niego „rozwój“ będzie bardzo słabą nadzieją, a jeśli rzeczywiście ów poprzedni warunek, jak on sądzi, jest niezbędny, to nie wiadomo, czy wielu podzieli z nim to oczekiwanie. A tymczasem cóż my widzimy w tym świecie słowiańskim? Sympatye, towarzyszące nam jeszcze przed 7 i 8 laty, usuwają się od nas z każdą godziną i przepadają tylko dla nas, bo zyskuje je Austrya. Z każdą chwilą nabiera ona coraz więcej znamion mocarstwa nietylko niemieckiego, ile słowiańskiego. Słowianie, poraz pierwszy te plemiona słowiańskie, które są energiczniejsze i wytrwalsze, zaczynają się czuć bardzo wygodnie pod jej egidą i dlatego trzeba przypuścić, jakkolwiek jest to smutne, że ze zjednoczenia zachodnich i południowych słowian wyrośnie kiedykolwiek nie przyjaciel nasz, lecz niebezpieczny wróg, nie obrona naszej potęgi w Europie, lecz nasze osłabienie.“

„Kraszanka“ Kuryera lwowskiego. Starodawnym zwyczajem uwił i *Kuryer lwowski* bukiecik życzeń z powodu święta chrześciańskiego. Nieznane to na galicyjskim gruncie kwiaty, toż warto je, jako osobliwą rzadkość, zachować w naszym albumie. Mówiąc o ożywionych nadziejach w czasie świątecznym, zauważa *Kuryer*, że rzadko kto zastanawia się nad *rękojmiami ich spełnienia*. Nawołuje on więc do zapisania złotemi zgłoskami w księdze narodowej maksymy praktycznego mędrca amerykańskiego, Benjamina Franklina, który powiedział: „Człowiek, żyjący tylko nadzieją, ginie z głodu.“

„Po katastrofach bowiem—powiada Kuryer—które dotknęły naród, wybitnem znamieniem całego naszego postępowania było żywienie nadziei. Ma to wprawdzie swoją doniosłość, bo chroni społeczeństwo od zbytniego pesymizmu; od chwili jednak, kiedyśmy doszli do przekonania, że tylko od nas samych zawisło powodzenie, samo krzewienie nadziei już nie wystarcza. Tymczasem w wielu działach naszej pracy organicznej widać ciągle jeszcze tylko wyczekiwanie zbawienia od jakichś potęg, istniejących po za obrębem społeczeństwa. Oglądamy się i czekamy z założonemi rękami, licząc bądź to na zmianę stosunków politycznych, bądź to na... opatrzność.“

A więc:

„Obok nadziei i wiary w przyszłość potrzeba nam czynu, czynu na wszelkich kierunkach. *Mniej gadania*, mniej rozprawiania *a więcej roboty* szczerej, skrzętnej, prawdziwej, wolnej od blagi i przechwałek a powodzenie wszystkich naszych spraw publicznych będzie bez porównania większem. Żyjąc też nadzieją, nie będziemy ginąć z głodu. Tyczy się to zarówno naszych prac w licznych stowarzyszeniach, jak i w reprezentacyach samorządu, zarowno w sejmie, jak i w delegacyi polskiej w Radzie państwa.“

Plewisty był kłos, z którego wyłuskaliśmy to zdrowe ziarno. Cenimy je przecież mimo to, ileż-bo pustych kłosów pędzi w górę?...

JESZCZE RAZ W SPRAWIE PISOWNI POLSKIEJ.

II.

Tyle o proponowanem *c* zamiast *dz*. A teraz słówko o pochylaniu *e* w *biéc, piéc, siéc* itp. Ktokolwiek zada sobie trud i przeczyta chociażby następne miejsca, dotyczące pochylania *e*: Wnioski Deputacji str. 27—35, 99—104, 347, 364, 366, 370, 543, 546; Małeckiego Gram. jęz. pols. większa (1863) str. 13, 380—381; jegoż Gram. hist.-porówn. I, 44, 45, 138, 139; F. ks. Malinowskiego Kryt.-porówn. gram. str. 174—179; Kryńskiego O pisowni str. 4, 5; — przyjdzie do wniosku naprzód, że prawidła i wywody co do pochylania tej samogłoski są w najwyższym stopniu zawikłane, ciemne, z sobą sprzeczne, powtóre, że w ustach klas ukształceńszych pochylanie *e*, gdzie się ono słyszy, stopniowo znika, a po trzecie, że pochylanie to przeważnie jest prowincyonalizmem, szczególnie w wyżej przywiedzionem zdarzeniu (*piéc, siéc* i t. p.). Przekonany jestem, iż nikt nie potrafi podać ani ogólnych, ani szczegółowych prawideł pochylania *e*, któreby wszystkich zadowolniły, dla tej prostej przyczyny, że zmieniają się one co prowincya, prawie co powiat. Streszczając przeto, com w książeczce mojej o tem pytaniu powiedział w § 13, mniemam, iż najstosowniejszą i najpraktyczniejszą byłoby rzeczą: usunąć raz na zawsze piśmienne pochylanie *e*, to jest niekreskowanie jego nigdy,—z wyjątkiem tylko licencji poetycznej rymowania *i, y* z *éj*.

Co do punktu drugiego, mianowicie co do piśmiennego zdwajania lub niezdwajania niektórych brzmień spółgłoskowych w wyrazach, zapożyczonych z języków t. zw. klasycznych, rzeczywiście przeważa już i w mowie i na piśmie zwyczaj pisania w tych razach brzmień pojedynczych: *f, k, l, m, p, r, s*; jednakże zauważyć należy, iż pewne wyrazy brzmią przeważnie ze zdwojeniem, jak np. *bella, belladonna* (oba te wyrazy i tym podobne są pochodzenia łacińskiego, choć przyszły do nas od plemion romańskich, lub drogą tworzenia sztucznego), *idylla, gamma, summa, massa, kassa* i t. d. Trzebaby tu więc szczegółowo określić prawidła pisowni, bo poziomowanie, jak wszędzie, tak i tu, na nic się nie przyda. Potrzebaby też oddzielić kategorję imion własnych klasycznych lub przez Greków i Rzymian nam przekazanych: osób, gieograficznych i t. p., bo trudno przypuścić, aby ktoś chciał proponować pisownię: *Jafa, sufet, Perdykas, Aka Larencja* i t. p. Pożądanemiby były przeto tutaj, jak i w innych razach, spisy i przepisy szczegółowe, o czem mówię w broszurze § 11 a.

Co do punktu trzeciego, czyli o pisowni wyrazów greckich i łacińskich, zawierających *-ia-*, *-io-* i t. d., w książeczce mojej „W sprawie pisowni“ zbijałem pisownię, proponowaną w książce p. Kryńskiego (główne str. 26—29) *-ija*, *-yja*, ubocznie tylko wspominając o pisowni, przyjętej obecnie przez komisję językową. Pisownia ta w niczem się nie różni od sposobu, poleconego niegdyś przez Deputację, a popieranego przez p. Małeckiego, w obu jego większych gramatykach. Odrzucając pisownię *-ija*, *-yja*, Komisja, zdaniem mojem, postąpiła bardzo słusznie. Nie powtarzam tu zarzutów moich przeciw temu sposobowi, bom je w broszurze mojej obszernie przedstawił (§ 29). Zbijając go tam, starałem się obronić pisowni *-ja*; widzę z przyjemnością, że nie było jednozgodności w głosowaniu Komisji, gdy chodziło o przyjęcie *-ia*, *-ya*: na ośmiu członków, pięciu tylko było za tym sposobem; przyjęto go przeto większością tylko jednego głosu. Czy wszystkie trzy głosy przeciwne były za sposobem *-ja*, o tem nie wiem. Ponieważ zawsze wydaje mi się on najwłaściwszym, więc raz jeszcze podnoszę głos w jego obronie.

Obronę moją dzielę na dwie części. Naprzód postaram się zbić dowody przeciwników; potem usiłować będę złożyć dowody, popierające polecaną przezemnie pisownię.

Ponieważ Komisja nie raczyła ogłosić motywów, które pięciu jej członków skłoniły do przyjęcia sposobu *-ia*, *-ya*, więc argumentacji mojej wprost przeciwko tym motywom wymierzyć nie mogę. Zdaje mi się, że słusznie sobie w tym razie postąpię, obracając dowodzenie moje przeciw prawidłom i ich uzasadnieniu, jak je przedstawił najumiejętniejszy dotychczas obrońca sposobu *-ia*, *-ya*, profesor Małecki.

Kto zechce odczytać §§ 183 i 830, 4 jego Gramatyki większej, oraz §§ 64 i 836 jegoż Gramatyki hist.-porównawczej, dostrzeże nasamprzód pewnej zmiany w poglądzie, — czego tu jednak podnosić nie będę.

Zarzuty, wyrażone przez pana M. przeciwko pisowni *-ja* następnie streścić się dadzą: 1, Pisownia *-ja* w drugim przypadku każe pisać *-ji*, a tej kombinacji nigdy w języku polskim się nie używa; 2) Pisownia ta prowadziłaby do pisania *harmonjny*, co byłoby niedorzecznością; 3, Zmuszałaby do kreskowania spółgłosek przed *j*, np. *harmońja*; 4, Ponieważ u nas spółgłoski, poprzedzające dwugłoski jotowe, stale się zmiękczają, przeto pisownia *Azja, teologja*... koniecznie prowadziłaby do form *Aźa, teoloźa*...

Co do *pierwszego* zarzutu, pozwalam sobie zauważyć, że, w oddawaniu wyrazów obcych przyswojonych, piszemy takie kombinacye brzmień, których się nigdy w polszczyznie nie używa, i to bardzo często, np. *eolski, hałas, Homer*, obywa*tel*, Pu*ti*a*tycki*, *ażjo* i mnóstwo innych. Więc użycie *ji* w wyrazach również obcych przyswojonych mezemby w zasadzie nowem nie było. Zresztą piszemy *najistotniejszy* i t. d.

Co do *drugiego*. Mamy dużo wyrazów pochodnych, które się urabiają od postaci dziś lub zgoła nieistniejących, np. *braterski* od *bratr*, *cielesny* od *cieles* i t. d. Jak wyraz *braterski* utworzył się w tej epoce, kiedy jeszcze mówiono *bratr*, tak samo *harmonijny* utworzono w tej (niedawnej jeszcze) dobie, kiedy mówiono *harmonija* (z przygłosem na *i*, co w niektórych gwarach jeszcze istnieje). Przymiotnik *gubernjalny* i jemu podobne świadczą o takiej dobie ich utworzenia, kiedy się nie wymawiało *gubernija*, ale *gubernja*, nawet *gubernia*. Więc ze sposobu pisania *-ja* wcale nie wynika pisanie lub mówienie (zresztą to ostanie zgoła niemożebne) np. *harmonjny*. Wyraz taki, jak np. *harmonijka*, jest faktem nie *dokonać się mającym*, ale dawno *dokonanym*.

Co do *trzeciego*. Nie mamy prawidła w zwyczajach naszych ani mownych, ani pisowniowych, obowiązującego nas do stałego zmiękczania brzmień niezmiękczonych przed zmiękczonemi lub miękkiemi. Obok np. *świder*, mówimy i piszemy albo *spi, zwierz*, albo *śpi, źwierz*. Z drugiej znowu strony, przed *i* spółgłosek nie kreskujemy, choć się w wymawianiu miękczą: nie piszemy dzisiaj *źima, ńiwa*, chociaż tak mówimy. Więc też niema żadnej potrzeby kreskowania spółgłosek przed jotą.

Co do zarzutu *czwartego*, spoczywa on na dwóch błędnych, zdaniem mojem, premisach. Naprzód: na nieścisłem odróżnianiu *brzmienia j* od *głoski j*; powtóre: na przypuszczeniu, iż prawa głosowniowe, które działały kilkaset lat temu i zamarły, dziś jeszcze wpływ jakiś wywrzeć mogą. Co innego brzmienie miękczące, które z *rěka* zrobiło *rzeka*, a co innego jota, głoska. W teorji językowej uważamy jotę za domniemaną sprawczynię miękczenia, za symbol, widomy znak tego miękczenia; w praktyce zaś jota jest takiem brzmieniem spółgłoskowem, jak każde inne; dziwną mi się przeto wydaje owa „ostrożność, aby się spółgłoski nie miękczyły,“ gdy się po nich napisze jotę! To chyba przypuszczanie jakiegoś magicznego wpływu głoski napisanej na sąsiadkę. Był czas, kiedy się u nas miękczyły spółgłoski, nawet w wyrazach obcych, jak np. *Rzym*, *dziekan*; ale czas ten minął i prawdopodobnie nie wróci. Przywykliśmy pisać *Rimini*, *Garibaldi*, *Leopardi*, *Didon* bez najmniejszej obawy, aby się zrobiło *Rzymini*, *Dzidon* i t. p.; piszemy bez żadnych szczególnych „ostrożności“ *reszta* i wcale się nie obawiamy, ażeby się ten wyraz przekształcił na *rzeszta*, na wzór *rzesza*. Zresztą pisać każą *teologia* ale nie *teologya*, *kiosk* ale nie *kyosk*; a przecież i to nie zawadziłaby owa „ostrożność,“ bo *g* i *k* miękczą się u nas, mając po sobie jotę teoretyczną. Otóż gdy napiszemy *Azjr* albo *historja*, to możemy być pewni, że *z* i *a*

nietkniętemi zostaną. Prędzej chyba nastąpićby mogło przejście na *Azia, historia*, jak *gubernja* przeszła na *gubernia*. A zresztą, jeżeliby nawet sądzono było, iżby z *Azja* zrobić się miała *Aźa*, to śmiało ręczyć można, iż żadna pisownia temu nie zapobieży...

(D. c. n.)

Jan Karłowicz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Koncert p. Barcewicza odegrany był przez niego ze znanem mistrzowstwem. Słuchaczów zebrało się nie wiele, chociaż przecie koncertant bywa czasem w Berlinie, Lipsku, Sztokholmie! Za dużo siedzi w domu.

Odczyty. P. W. Spasowicz przez ostatnie cztery dni tygodnia wykłada o Byronie i jego poprzednikach. Sprawozdanie pomieścimy później.

Sprawozdanie. Komitet zarządzający Kasą pomocy im. Mianowskiego ogłosił za rok 1883 sprawozdanie, z którego bierzemy ciekawsze szczegóły. W ciągu tego roku przybyło nowych członków założycieli 4, honorowych 15, rzeczywistych 160 i tych ostatnich było z poprzedniemi 795, ale z nich 238 nie wniosło opłaty. Zwykły to zresztą objaw we wszystkich naszych instytucyach. Przychód Kasy wynosił 14,796 rs. a rozchód 13,887. Posiada ona w papierach 17,000 i zapis J. N. Jaśkowskiego, wynoszący 15,000 rs. Na pożyczki i zapomogi wypłacono 8 osobom 5,537 rs. 17 kop. Na wydawnictwa naukowe, a mianowicie na *Bibliotekę matematyczno-fizyczną* rs. 3491 kop. 18 a razem z poprzednio zaliczonemi rs. 4778 kop. 48; na wykonanie chronologicznego spisu druków znajdujących się w *Bibliografii* Estreichera, oprócz poprzednio udzielonych 500 rs., jeszcze 146 rs. 45 kop., na wydanie *Biologii praktycznej* Huxleya 353 kop. 45 (poprzednio jeszcze 270 rs.), na wydanie wyboru autorów greckich i łacińskich 368 rs. 59 kop., na wydawnictwo II tomu *Rocznika pedagogicznego* 800 rs., na pokrycie kosztu wydania listów Krzysztofa Warszewickiego rs. 357 k. 80, pożyczkę bezzwrotną na wydanie III tomu *Pamiętnika fizyograficznego* rs. 734 kop 65, na wydanie gramatyki czeskiej 600 rs., Anatomii patologicznej 1020 rs., dzieła Eweretta *Knits and Physical constants* — 300, pracy z dziedziny językoznawstwa — 500, tłomaczom dzieł filozoficznych — 800 i na wydanie *Sprawozdania z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych* rs. 262 kop. 67. Wiele z tych pożyczek przyznano tylko, ale jeszcze nie wypłacono; wogóle na wydawnictwa naukowe w r. 1883 zaliczono rs. 6696 kop. 38. Pożyczek i zapomóg przyznano na rs. 650, wypłacono 400 rs. i z funduszu wieczystego im. J. N. Jaśkowskiego wypłacono p. Maryi Konopnickiej 364 i p. Oskarowi Kolbergowi 370 rs.

Pomiar Królestwa. Od roku zeszłego prowadzą się roboty topograficzne, ponieważ dokonane w r. 1869 okazały się niedokładne. Nowy pomiar odznacza się zwiększoną skalą i dokładnem oznaczeniem wysokości wielu miejsc nad poziom morza. Po ukończeniu oryginałów wydaną zostanie mapa topograficzna w skali 2 wiorsty na cal.

Mordercy służących w Wiedniu, słynny H. Schenk i jego pomocnik Schlossarek zostali straceni. Gazety miejscowe donoszą, że H. Schenk po wysłuchaniu ostatecznego wyroku śmierci skłonił się grzecznie i podpisując spokojnie protokół nie zapomniał nawet nakreślić około swego nazwiska zwykłych zakrętów kaligraficznych. Natomiast jego towarzysz zemdlał.

Brat Hugona, Karol, został ułaskawiony ze zmianą kary śmierci na dożywotnie więzienie.

Sprawa o nauczanie. *Gaz. Warsz.* donosi, że w Grodnie Sąd Okręgowy rozpatrywał sprawę dymisonowanego żołnierza, oskarżonego o uczenie dzieci po polsku. Podsądny bronił się sam i chociaż nie zaprzeczał faktu, sąd uniewinnił go.

Dziwna petycya. *Echo* petersburskie donosi, że „wielu przedstawicieli zamożnego rosyjskiego kupiectwa i inne zamieszkujące w Warszawie osoby odniosły się do rządu z prośbą o zwinięcie funkcyonującego w Warszawie Banku polskiego i o powierzenie jego działalności oddziałowi banku państwa.“ Wskutek tej prośby utworzoną podobno została komisya, która ma zbadać sprawę. Co na tem zyskają petenci, trudno odgadnąć.

Opłata pocztowa od gazet ma być podobno podwyższoną. Dzienniki rosyjskie słusznie wykazują, że nowy ten podatek zmniejszyłby tylko znacznie liczbę wysyłanych pism, a skarbowi nie dał większych dochodów. Opłata pocztowa w Rosyi jest dosyć wysoka i ustanowioną była wtedy, kiedy list kosztował 10 kop. za markę i 3 kop. za odnoszenie. Z rozwojem dróg żelaznych, żeglugi parowej itd. koszta przesyłki zmniejszyły się znacznie i dziś chyba tylko może być mowa o zniżeniu opłaty pocztowej, tego podatku nałożonego na cywilizacyę.

Zapis. Testament dra Chwiećkowskiego, przeznaczający 20,000 rs. na specyalne wykształcenie osób obojga płci w jakiejkolwiek gałęzi przemysłu technicznego, 20,006 na nagrody i wydawnictwo dzieł popularnych dla ludu z dziedziny nauk przyrodniczych i resztę majątku na stypendya dla studentów pochodzenia polskiego zatwierdzony został przez władzę.

Szkoły tajemne. *Wilenskij Wiestnik* donosi, że w ciągu miesiąca marca b. r. w trzech guberniach: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej odkryto 17 szkół tajemnych, w których dzieci włościan uczyły się po polsku. (*G. warsz.*).

Nowe wydawnictwo p. t. *Świat polski w zabytkach sztuki* ukazać się ma w Krakowie pod kierunkiem prof. W. Łuszczkiewicza a staraniem uczniów szkoły sztuk pięknych. Dzieło to wychodzić będzie zeszytami, co miesiąc; do rysunków dodanym ma być tekst.

Statystyka. W warszawskiej gubernii znajduje się 21,157 robotników fabrycznych i z pomiędzy nich w ostatnim dziesięcioleciu uległo nieszczęśliwym wypadkom 2605, tj. ósma część wszystkich pracujących.

Zmarli: Emanuel Geibel, znany poeta niemiecki.

— Aleksander Bojarski, członek czynny Akademii Umiejętności, profesor prawa i postępowania karnego w uniw. Jagiellońskim.

— Ks. Franciszek Wierzchlejski, arcybiskup-metropolita lwowski, członek Izby panów i sejmu krajowego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. W. Kl. Nie wierz Pan *Kłosom*, piszą bowiem nieprawdę. W pierwotnych wydaniach kroniczka Dyakowskiego ma tytuł: „Summaryusz okazyi wiedeńskiej... przez... *wypisany* ex archivo XX. Imci Lubomirskich.“ Czech w wydaniu krakowskiem z r. 1861 błędny dał tytuł i bezsensownie zamiast *napisał* umieścił *opisał*, co p. Lewental kazał najprzód w swojej edycyi powtórzyć, a następnie z powodu uwagi *Prawdy* błąd oczywisty usprawiedliwiać wykrętnie Do bibliografii, wskazanej przez *Kłosy*, dołączyć należy wydanie w V tomie Pamiętników o dawnej Polsce Niemcewicza, gdzie jest „*Dyaryusz* okazyi wiedeńskiej,“ ale zawsze *wypisany*.

Prenumeratorowi z Sandomierskiego. Pisma tego nie czytujemy stale, nie wiemy przeto, o jakim artykule Pan wspomina. Jeśli wszakże tak ufność pańską zachwiało *Słowo*, to może ją przywrócić jego rodzic *Czas*, z którego literalnie i w cudzysłowach wzięliśmy opis uroczystości. My skłamaliśmy tylko w takim razie, jeśli skłamało to przecież chyba w rzeczach arystokratyczno-klerykalnych wiarogodne źródło.

P. I. S. w Kozłowie. Ostatecznie nawet w przykładzie pańskim nasze pisma są tańsze (rs. 20 k. 40 i 18—*po podwyższeniu* ceny!). Mówiąc „odpowiednie“ nie mieliśmy na myśli tożsamości, ale pokrewieństwo. Że *Kłosy* lub *Tygodnik ilustr.* nie mogą się równać z ilustracyami Francyi, Anglii i Niemiec, to niewątpliwe, tem niemniej nasze tamtym „odpowiadają.“ Uwagi pańskie o artykule prof J. najzupełniej są słuszne, ale wybaczmy to potknięcie się człowiekowi staremu i nieszczęśliwemu. Co do *Listów*—tak.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Апрѣля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.